Nr. 23 i 24. Lwów dnia 1. Grudnia 1890. Rok I

GWIAZDA KATOLICKA



czasopismo religijno-naukowe społeczne i beletrystyczne.

„*Gwiazda katolicka*“ wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca w objętości 2—2½ arkuszy druku i kosztuje w *Austryi*: całorocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1 zł. 50 ct.— W *Niemczech*: rocznie 12 marek, półrocznie 6 m., kwartalnie 3 m. — W *Francyi, Włoszech, Rumunii* i *Turcyi*: rocznie 16 fr., półrocznie 8 fr., kwartalnie 4 fr. — W *Ameryce* 4 dolary rocznie.

Przedpłatę nadsyłać należy wprost do Redakcyi (*Lwów*, ul. Ossolińkich, l. 11).

Ogłoszenia umieszcza się za opłatą 6 ct. od jednego wiersza. Przyjmują takowe: administracya „Gwiazdy katolickiej“ i biuro anonsów p. Hub. Frijdla w Wiedniu (V. Matzleindorferstrasse Nr. 7).

Reklamacye uwzględniają się tylko w przeciągu dni 14 po wyjściu nru.

Odpowiedzi następują tylko na listy, w których załączone są marki pocztowe.

Rękopisów nie zwraca się. — *Numer pojedynczy* kosztuje 25 ct.

Właściciel, wydawca i odpowiedzialny redaktor: ks. Marceli Dziurzyński.

Zmiana w czasopismie.

Podwójny numer (23 i 24) niniejszy jest ostatnim w bieżącym półroczu i ostatnim zarazem w wydawnictwie „Gwiazdy katolickiej“ jako czasopisma religijno-nakowego, przeznaczonego dla sfer więcej wykształconych. Od Nowego Roku (1891) zamieniamy „Gwiazdę katolicką“ na ***Pismo ludowe*** i zniżamy zarazem **znacznie przedpłatę.** Nowe czasopismo ludowe zatrzyma ten sam tytuł: „Gwiazda katolicka“ i wychodzić będzie w tej samej objętości w nieco zmienionym formacie. **Numer okazowy** wyjdzie koło 16 grudnia b. r.

Kończąc dotychczasowe wydawnictwo, dziękujemy wszystkim P. T. Prenumeratorom, którzy nas i radą i przedpłatą wspierali i prosimy o dalsze na przyszłość poparcie.

Nie możemy atoli przy tej sposobności pominąć milczeniem postępowania wcale niechwalebnego a nas krzywdzącego tych P. T. Adresatów, którzy przez cały rok odbierali nasze czasopismo a dotychczas nie uiścili żadnej przedpłaty mimo próśb i przypomnień naszych. Nie chcemy przypuszczać, aby to czynili w złej woli umyślnego szkodzenia wydawnictwu, bo byłoby to niegodnem chrześcianina-katolika, sądzimy raczej, że jakaś niemożliwość była tego opóźnienia się przyczyną i dlatego prosimy ich, aby przynajmniej teraz pośpieszyli z uiszczeniem należytości całorocznej, a innych P. T. Prenumeratorów upraszamy o wyrównanie przedpłaty za ostatnie półrocze.

Lwów 1 grudnia 1890.

Redakcya „Gwiazdy katolickiej“.

Czy dusza ludzka jest nieśmiertelna?

1. Już w poprzednich artykułach widzieliśmy dość jasno, że człowiek obdarzony jest przez Boga duszą rozumną i duchową, a przeto nieśmiertelną. W niniejszej jednak rozprawie chcemy specyalnie nad niektóremi tej prawdy dowodami się zastanowić. Rozpocznijmy od zgody rodzaju ludzkiego, który wszędzie i zawsze utrzymywał nieśmiertelność duszy. U wszystkich bowiem narodów widzimy obrzędy pogrzebowe, cześć dla nieboszczyków, uroczystości i ofiary dla ich cieniów, badania o hadesie, tartarze i eliseum, o szczęśliwym po śmierci losie sprawiedliwych, i karze występnych. W tej wierze dawano nieboszczykom pieniądze, palono z nimi żony, niewolników, konie i rzeczy, jakich tu używali, aby im i w życiu pozagrobowem służyły. Balsamowano ciała, wspaniałe stawiano grobowce, wylewano na groby mleko, miód i wino, zastawiano dla nieboszczyków uczty i t. d.

Prawda, że wiele z tych obrzędów nie zgadza się ze zdrowym rozumem, ależ mogły one zkąd indziej powstać, jak z pierwotnej tradycyi, że ze śmiercią nie kończy się nasze życie, ale dusza i poza grobem istnieje? Wszak sam niedowiarek Murabeau powiada, iż „wiara w żadną prawdę religijną nie jest tak rozpowszechniona, jak w nieśmiertelność duszy“. Już więc zgoda rodu ludzkiego bardzo oczywiście dowodzi omówionej prawdy.

2. Dalej wielu z dziedziny nawet nauk przyrodniczych dowodzi nieśmiertelności duszy ludzkiej jak n. p. Schmick w dziele: *Die Unsterblichkeit der Seele naturwissenschaftlich und philosophisch begründet 1890*, *Philaleth Alter*: *Glauben und Wissen im Einklange* i inni. Jaśniejszym jednak jeszcze dowodem jest to, że sprawiedliwość Boża musi wszelki występek ukarać, jak wszelki uczynek dobry nagrodzić. Widzimy zaś z codziennego doświadczenia, że ani cnota nie jest na tym świecie dość wynagrodzoną, ani występek dość ukarany, owszem cnota wzgardzona i poniewieraną, a najwięksi przestępcy najczęściej kary uchodzą. Musi być więc życie przyszłe, gdzie już każdy według uczynków swoich sprawiedliwą zapłatę odniesie.

3. Ale najważniejszy dowód mamy z natury samejże duszy naszej, która ponieważ jest duchem niezłożonym, symplicznym, więc rozłożyć się nie może, przeto ani umrzeć, bo śmierć nie czem innem jest. tylko rozkładem istoty żyjącej na części. Obszernie o tem rozprawia Plato w swoim Fedonie, gdzie przywodzi Sokratesa broniącego tej prawdy i z niezachwianem przekonaniem o niej, jak i o pozagrobowej nagrodzie za swe szlachetne życie umierającego.

4. Każda nakoniec prawie karta Pisma św. tak nieśmiertelność naszej duszy, jak nagrodę i karę po śmierci wiekuistą głosi; opuściwszy tedy inne dowody, wspomniemy tylko, iż dusza ludzka nie mogłaby mieć takiej odpowiedzialności na sądzie Bożym, aniby na taką nagrodę lub karę zasługiwała. gdyby nie była *wolną* obdarzona wolą. O tej wolności przekonuje nas i przeświadczenie nasze wewnętrzne, i zgoda rodu ludzkiego, jak już poprzednio wykazaliśmy (IX, X) i tak wielka oczywistość, iż sam zdrowy rozum pozwala nam o niej nawet wątpić.

5. Teraz więc pokazuje się jasno, jak wielkim nierozsądkiem, owszem jak wielkim występkiem jest lekceważenie sobie religii, obojętność na swoje zbawienie, a tembardziej bezwyznaniowość. Czy bowiem ktoś tam uzna lub nie uzna tych prawd, że Bog istnieje i będzie istniał, my jesteśmy z całym wszechświatem z nicości przez niego stworzeni, i mamy duszę nieśmiertelną, wolną obdarzoną wolą, która po zejściu z tego świata musi przed nim stanąć, czy weń wierzy lub nie, i najsurowiej złożyć rachunek z wypełniania przykazań jego, a nakoniec wiekuistą odebrać zapłatę według uczynków swoich.

Przeto słusznie pisze Balmes o „indyferentyźmie:“ Gdyby się znalazł jaki człowiek, coby miał przywilej nigdy nie umierać, i posiadał zapewnienie, że na ziemi zawsze żyć będzie, może mniej nieco nierozsądną rzeczą byłoby u niego, gdyby się mniej prawdziwą religią zajmował. Ależ my nietylko takiego zapewnienia nie mamy, lecz jeszcze o bliskiej śmierci przekonani, tak, iż sen nie jest bardziej znikomym, jak pobyt nasz ziemski, a wezwanie przed Najwyższego Sędziego jest również straszną jak pewną dla nas prawdą! Nadarmo usiłujemy o tem zapomnieć, nadarmo myśli te od siebie oddalamy, nadarmo usiłujemy je złagodzić; możemy wymyśleć co chcemy, prawda ta zawsze będzie stała przed nami, i niema środka, aby jej uniknąć“

„Indyferentyzm przeto w praktyce uważany jest nierozsądkiem, jest punktem kulminacyjnym głupoty ludzkiej, jest najnierozumniejszą teoryą, każącą człowiekowi ze zamkniętemi oczyma iść do nieznanej wieczności! Tak postępują wszyscy ci, co usiłują wmówić w ludzi. iż nie powinni się religią tyle zajmować, że nie powinni badać, czy jest jaka i która religia prawdziwa, że należy się stosować do obojętności tych, wśród których się żyje. Jest to najwyższem obłąkaniem rozumu ludzkiego“.

Co sądzimy o dzieciach nie troszczących się o rodziców swoich, to samo i jeszcze niestety gorzej musimy sądzić o ludziach niedbających o Stwórcę swego, ani należnej czci i podzięki za ciągle odbierane od niego dobrodziejstwa przez prawdziwą religię, jaka jedynie przyjemną Mu być może, nie składających Mu.

Niema takiego złego, któreby na dobre nie wyszło.

I.

Droga matka moja, Panie racz dać wieczny odpoczynek jej świątobliwej duszy; przy każdem nieszczęściu lub niepowodzeniu powtarzała zawsze,

że Bóg w miłosierdziu swojem, nawet ze złego wyprowadza dobre dla tych, którzy Go kochają, i że niema takiego złego, coby na dobre nie wyszło.

Prawdziwości tego twierdzenia mej matki, dowodzi opowiadanie żony mego przyjaciela, które dziś pragnę powtórzyć ku zbudowaniu wierzących, a przekonaniu wątpiących.

Podczas mej długiej włóczęgi po wszystkich krajach Europy, a nawet Ameryki, w lipcu roku 1876 przybyłem do Szwajcaryi; wezwany tamdotąd przez mego stryja, który przyjechawszy z głębokiej Litwy do ojczyzny Wilhelma Tell'a szukać zdrowia, chciał przy tej sposobności zrobić ze mną układ co do podziału spadku, po naszym wspólnym krewnym.

Miejscem spotkania miała być Genewa; ponieważ jednak ja pierw przybyłem do Szwajcaryi, a nie wiedziałem, kiedy stryj przyjedzie, przeto zamiast udać się do miasta, zatrzymałem się w prześlicznej wiosce malowniczo rozszerzonej, w uroczej dolinie nad brzegiem jeziora; a do Genewy, do oznaczonego hotelu, doniosłem gdzie obecnie jestem, prosząc go, aby, skoro przybędzie, uwiadomił mię o tem.

Tydzień już bawiłem pomiędzy Szwajcarami, rozkoszując się pięknościami ich rodzinnej ziemi, i marząc o dalekiej opuszczonej ojczyźnie, z której stryj przybywał, gdy pewnego dnia otrzymałem smutną wiadomość, że zacny stryj chcąc mi zrobić niespodziankę i poznać dolinę, o której mu kilka słów pochwalnych napisałem, zamiast donieść mi o swym przyjeździe, wybrał się do mnie w odwiedziny.

Lecz nieszczęście chciało, że wspinając się na jedną z gór, wpadł w wąwóz i nogę złamał.

Po otrzymaniu tej hiobowej wieści, wybrałem się czemprędzej do wskazanej mi wioski górskiej, gdzie biedny mój stryj po nieszczęśliwym wypadku, leżąc na łożu boleści, oczekiwał na mnie.

Dobrze już było z południa, gdy dosiadłszy muła, tego tylko jedynie bezpiecznego ekwipaża w górach w towarzystwie przewodnika ruszyłem w drogę.

Upał był dnia tego niezmierny; promienie słońca zdawały się być ognistemi strzałami; przeznaczonemi na wzniecenie pożaru na całej ziemi.

Już na początku drogi spotrzegłem, że przewodnik mój niespokojnie strzyże oczyma na wszystkie strony. Nareszcie, kiedyśmy ujechali czwartą część drogi, oznajmił mi z wielce poważną miną, że burza wisi nad nami i uniknąć jej nie podobna.

Jeżeli uniknąć jej niepodobna, to się znią spotkamy — odparłem, siląc się na humor, choć go w mej duszy nie było, bo doświadczywszy już kilkakrotnie burzy w górach, wiedziałem jak jest okropną i niebezpieczną.

Wpół godziny po oświadczeniu mego przewodnika, zerwał się gwałtowny wicher, pędząc przed sobą czarne chmury, które zlewały nas potokami deszczu; błyskawice przelatywały tuż nad naszemi głowami, a tysiączne echa powtarzały łoskot bijących piorunów i huk grzmotów.

Okropności naszego położenia nie będę się silił opisywać, bo żadne pióro tego nie dokaże; trzeba być samemu świadkiem podobnej burzy, aby mieć pojęcie o wrażeniu, jakie wywiera.

Przemokły do nitki, drżałem z zimna i myślałem z pewną goryczą: na co dobrego zda się dla mnie ta szalejąca burza i moczący mię deszcz?

A im burza srożyła się więcej, tem częściej powtarzałem sobie to pytanie. Nakoniec byliśmy tak zmęczeni wdrapywaniem się na śliskie skały i oślepieni błyskawicami, że niepodobna było iść dalej.

Zrozpaczony oglądałem się wokoło, szukając miejsca, w którembyśmy mogli się uchronić przed szalejącymi żywiołami, gdy ku niezmiernej mej radości ujrzałem w niewielkiej odległości, dużą grupę drzew, a z pośród nich wyglądające białe mury.

— To prawdziwa Opatrzność Boża! — zawołałem do przewodnika — ktokolwiek tam mieszka nie odmówi nam przytułku, który, jakby w przeczuciu, że go czeka sucha stajenka, biegł z takim pośpiechem, o jaki nigdybym go nie był śmiał posądzić

II.

Któż opisze moje zdumienie i radość, gdy zbliżywszy się do zielonej oazy skał, spostrzegłem w dużym ogrodzie piękny dom, a przed nim Władysława Arciszewskiego, mego najserdeczniejszego przyjaciela, którego przed kilku laty pożegnałem w południowej Ameryce w St. Jago.

Padłszy sobie w objęcia, długo trzymaliśmy w ramionach, nie mogąc słowa przemówić. Aż zacny Władyś widząc, że drżę z zimna, a więcej jeszcze ze wzruszenia, wziął mię za rękę i poprowadził prosto do łazienki.

Tu podczas, gdy ja zrzucałem z siebie mokre i zabłocone ubranie, przyjaciel mój odkręcając kórki, przysposabiał mi ciepłą kąpiel.

Wpół godziny później rozgrzany w kąpieli, ubrany w świeżą bieliznę i suknie mego przyjaciela, siedziałem w gabinecie Władysia, który opowiadał mi, że wkrótce po naszem rozstaniu się, poznał starego Szwajcara z nadobną córką Marya, podróżującego po Ameryce.

Szwajcar polubił dzielnego, szlachetnego Polaka i oddał mu Marynię za żonę, dla której Władyś opuścił zachodnią półkulę i osiadł w ojczyźnie swej uwielbionej małżonki, pędząc dni w wielkim dostatku i niezamąconem szczęściu.

— A teraz chodź ze mną Tadeuszu — mówił Arciszewski, opowiedziawszy mi pokrótce koleje swego życia, od czasu naszego rozstania — przedstawię cię mej Maryni, która pragnie poznać jak najprędzej najserdeczniejszego przyjaciela swego męża.

Udaliśmy się do salonu, gdzie oczekiwała nas ładna, młoda szatynka, odznaczająca się niezwykłą słodyczą charakteru i niezrównanym spokojem umysłu.

Po dokonanej prezentacyi zasiedliśmy do stołu, Władyś wzniosłszy moje zdrowie, rzekł serdecznie

— Dziś żadną miarą nie możesz się puścić w dalszą podróż, kochany Tadziu; po tak ulewnym deszczu, wszystkie potoki wezbrały i droga twoja stała się nieprzebytą. Jutro, skoro wody opadną, sam cię odprowadzę do stryja, ale na noc dzisiejszą przyjm gościnę w naszym domu, o co moja żona i ja bardzo cię prosimy.

Chętnie zgodziłem się na prośbę mego przyjaciela, bo cicha, pogodna atmosfera domu państwa Arciszewskich, przypadała mi niezmiernie do serca. Tylko w domach, gdzie panuje miłość i zgoda, oddycha się tak zdrowem, wonnem powietrzem.

Pani Marya, osoba gruntownie wykształcona, z ujmującym wdziękiem prowadziła rozmowę; Władyś wspomniał czasy naszej pierwszej młodości, którą razem spędziliśmy w domu i szkołach, bo rodzice nasi sąsiadowali z sobą. Mówiliśmy o nieszczęśliwym kraju naszym; o klęskach, jakie już przeszliśmy i zgadywaliśmy to, co nas jeszcze czeka w przyszłości.

Przeniósłszy się myślą na ukraińskie stepy, zkąd obaj z Władziem pochodziliśmy i zkąd wypędził nas rok 1863, rok smutnej pamięci dla każdego polskiego serca, doznałem rozkosznego złudzenia, że znowu jestem na rodzinnej ziemi, że otaczają mię drogie postacie rodziców, krewnych i przyjaciół. O słodka młodości! Jakże ty drogą, jak miłą jesteś sercu każdemu! Jakiemże lubem uczuciem napełnia dusze nasze samo twoje wspomnienie.

Wzruszony i szczęśliwy, przypomniałem sobie przysłowie matki mojej: ;,że niema takiego złego, któreby na dobre nie wyszło“, i powtórzyłem je głośno Władziowi i pani Maryi; dodając, iż gdyby nie burza, nie byłbym się spotkał z przyjacielem, poznał ego pięknej żony i przepędził najprzyjemniejszego wieczoru.

— Ja najzupełniej podzielam zdanie pańskiej matki — rzekła pani Marya — bo sama doznałam w mem życiu już nieraz dobrych skutków złego. Jedno przecież zdarzenie z czasów mej pierwszej młodości, tak głęboko wyryło się w sercu mojem i pamięci, że natchnęło mię na całe życie niezachwianą ufnością w opatrznościowe rządy Boże nad ludźmi.

— Czy nie moglibyśmy usłyszeć tego zdarzenia? — spytałem zaciekawiony.

— Bardzo chętnie opowiem je panu; a pan opowiadaj je innym; może niejednego ze słuchaczy w tym wieku niewiary i zwątpienia, natchnie ufnością w opieką Bożą, która z samego nieszczęścia wyprowadza szczęście dla tych, którzy jej ufają.

III.

— Rodzice moi mieszkali w Genewie — tak opowiadała pani Marya — gdzie ojciec mój był adwokatem; lecz chociaż mieli własny dom z ogrodem, a ojciec wielu klientów, żyliśmy bardzo skromnie, bo rodzina nasza była liczna, a rodzice bardzo miłosierni.

Miałam może lat dziewięć, gdy zdarzył się w domu naszym smutny wypadek.

Jakiś pan B. powierzył memu ojcu bardzo ważne papiery do przechowania i wyjechał w daleką podróż; wkrótce po jego odjeździe zaginęły owe dokumenta i wszystkie poszukiwania ich były bezskuteczne. Przypominam sobie doskonale, jak ojciec smutny, całymi tygodniami nic nie mówił; matka zaś i starsze siostry łamiąc ręce, płakały.

Ponieważ jednak w tym czasie oddano mię na pensyę do Paryża, przestałam myśleć o zaginionych papierach i zajęłam się całkiem naukami.

Po siedmiu latach wróciłam do domu, jako ukończona nauczycielka, a w kilka miesięcy później wyjechałam do Niemiec, do jednego z większych miast, gdzie mię zaangażowano jako nauczycielkę francuskiego języka.

Dwa lata szybko ubiegły; aż pewnego dnia odebrałam list z Genewy wzywający mię do domu; ojciec życzył sobie, abym zajęła miejsce sekretarza w jego biórze, gdyż długoletni sekretarz ojca umarł nagle.

Ale jakiż było moje przerażenie, gdy w domu zastałam smutek wielki i łzy. Chodziło znowu o owe papiery, które zaginęły, gdy jeszcze dzieckiem byłam, a po które przed dwoma tygodniami zgłosił się ich właściciel, wróciwszy z podróży. Pan B. wyznaczył cztery tygodnie czasu na poszukiwanie papierów, ale gdyby w przeciągu miesiąca nie zostały odszukane, zagroził skargą; gdyż choć był człowiekiem bardzo bogatym, trzysta tysięcy franków, które za przedłożeniem zaginionych dokumentów miał odebrać, były zbyt wielką sumą, aby jej się łatwo można wyrzec.

Położenie mego ojca było rozpaczliwe; bo nie posiadając majątku i nie mogąc klientowi wynagrodzić straty, skazany był na utratę czci, na zhańbienie nazwiska, które szczyciło się od stu lat powszechnym szacunkiem, gdyż ojciec i dziad mego ojca byli także adwokatami słynącymi z uczciwości i wysokiego poczucia honoru.

Dowiedziawszy się tych wszystkich szczegółów, prosiłam ojca, aby mnie pozwolił robić poszukiwania, na co ojciec zgodził się tem chętniej, że po śmierci starego sekretarza nie miał nikogo, komuby je mógł powierzyć.

Wszystkie niepotrzebne papiery składano od stu lat do małego lamusa, zbudowanego z kamienia, a przytykającego do domu.

Gdym weszła do małej, sklepionej komnatki, i spojrzała na to mnóstwo papierów, zwątpienie mię ogarnęło; nie dwóch tygodni czasu, (bo dwa tygodnie z czterech wyznaczonych już upłynęły), było potrzeba do przejrzenia tej wszystkiej bibuły, ale chyba ze dwóch lat.

Wziąwszy przecież Boga na pomoc, wzięłam się z gorączkowym pośpiechem do przeglądania kufrów, skrzyń i rozsypanych na podłodze papierów.

Upłynęło dni dziesięć, a ja przejrzałam bardzo małą cząstkę nagromadzonego materyału, i to zupełnie bezskutecznie.

Pozostawały jeszcze cztery dni do oznaczonego terminu. Matka moja zakupiła Mszę świętą, na której cała nasza rodzina modliła się gorąco. Wróciwszy z kościoła, udałam się znowu do lamusa.

Ponieważ dzień był pochmórny, zapaliłam świecę i postawiwszy ją na ziemi, padłam na kolana, wołając wśród łez i jęków do Boga o ratunek.

Zatopiona w modlitwie, nie złyszałam zbliżających się kroków; nagłe zapukanie przestraszyło mię, zerwałam się z kolan i pobiegłam do drzwi.

To jedna z moich sióstr przychodziła po mnie, abym w nieobecności ojca przyjęła pewną klientkę.

Zasunąwszy więc szybko drzwi, poszłam do gabinetu, gdzie pani owa zatrzymała się dość długo.

Już miałam udać się do mej pracy, gdy z zajeżdżającego powozu wysiadł pan B.; przybywał on dowiedzieć się o rezultacie poszukiwań. Na moje prośby, aby termin oddania dokumentów przedłużył, odpowiedział mi bardzo grzecznie. że musi się widzieć i porozumieć z moim ojcem, na powrót którego postanowił czekać.

Nabrałam trochę otuchy i gdy po pół godzinie matka moja weszła do salonu, pobiegłam żywo do lamusu, pełna jakiejś nieokreślonej nadzieji.

Ale jakież było moje przerażenie, gdy za otworzeniem drzwi, blachą wewnątrz okutych, gęste kłęby domu i płomienie wydobywały z nieszczęsnego lamusu.

— Boże ratuj! — jęknęłam — palą się papiery!

Przez długą chwilę stałam nieruchoma, przyglądając się nieprzytomnie całemu morzu ognia, który pożerał ostatnie nadzieje. Z odrętwienia wyrwał mię przeraźliwy głos ojca. Co się dalej działo, nie pamiętam dokładnie; wiem tylko, że matka zemdlała, a ojciec, gdy ogień ugaszono, stał w ponurej rozpaczy, przypatrując się poprzepalanym papierom, które wyrzucono na dziedziniec.

Gdy lamus był już próżny, weszłam do niego i zaczęłam przeglądać zagłębienia pomiędzy kamieniami. Serce mi biło, i choć widziałam rozpacz ojca, nie mogłam być smutną, ja miałam tak wielką nadzieję, jak nigdy dotąd.

Naraz ujrzałam mały skórzany kufereczek, dobrze nadpalony ale papiery znajdujące się w nim były nienaruszone: wyniosłam kufereczek na dwór.

Ojciec mój ujrzawszy go, uśmiechnął się gorżko i rzekł.

— Bolesna ironia losu! wszystko się spaliło, a listy mej siostry, która umarła w tym nieszczęśliwym czasie, gdy dokumenta zaginęły, ocalały oto, bo są zupełnie niepotrzebne! Mimo uwagi ojca przeglądałam listy; ojciec patrzał z przykrym uśmiechem, na moje zajęcie.

Nagle wyjęłam większą paczkę, związaną zieloną tasiemką, na widok której ojciec mój rzucił się na kolana i w tej postawie, wyciągając ręce po paczkę wołał jakimś nieswoim głosem:

— Boże miłosierny! Teć to zaginione dokumenta!

Tak, to były papiery, których tak długo szukano napróżno. Zdaje się, że sekretarz chowając papiery i listy po siostrze mego ojca, przez nieuwagę zabrał dokumenta powierzone przez pana B. i razem z listami zapakował do kuferka, w którym nigdy nie szukano, wiedząc, że są tam listy i księżki rachunkowe mej ciotki.

Na krzyk ojca zbiegła się cała moja rodzina, słudzy, ludzie pomagający przy gaszeniu ognia i pan B. wszyscy widząc uniesienie radości mego biedne;o ojca, padli obok niego na kolana, i z wyciągniętemi ku niebu rękoma, powtarzali za ojcem gorące słowa dziękczynnej modlitwy.

Tu głos pani Maryi się złamał, ręce drżała jej lekko, oczy napełniły się łzami; obaj z Włydysiem patrzaliśmy na nią z głębokiem współczuciem. Opanowawszy wzruszenie, młode kobieta mówiła dalej z łagodnym uśmiechem:

Po odebranie majątku pan B. będąc bezdzietnym, starym wdowcem, całe trzysta tysięcy franków przeznaczył na posag dla mnie; utrzymując, że gdybym nie była powstając z kolan, wywróciła świecy, od której zajęły się i spaliły niepotrzebne papiery, nigdybyśmy się nie byli dostali do skórzanego kufereczka cioci, i dokumenta byłyby tam zostały pomiędzy jej listami na zawsze.

W rok po znalezieniu papierów, umarł pan B., zapisawszy przed śmiercią resztę swego majątku memu ojcu, i to, jak w testamencie napisał, że ma tak dzielnego sekretarza, który w porę umie wywracać palącą się świecę pomiędzy papiery; a dalej, aby mu wynagrodzić zmartwienie i kłopot doznany z przyczyny jego dokumentów.

Widzi więc pan. — kończyła dalej pani Marya swoje opowiadanie, zwracając się do mnie — że i w tym wypadku sprawdziło się przysłowie pańskiej matki; bo ów pożar uważany za wielkie nieszczęście, sprowadził szczęście wielu osób, a nawet miły wieczór dzisiejszy, jemu zawdzięczamy,

Spojrzałem pytająco na żonę mego przyjaciela, która odrzekła z wesołym uśmiechem:

— Gdyby nie pożar, rodzina moja byłaby w niedostatku, pozbawiona najszacowniejszej rzeczy, bo dobrego imienia; ja uczyłabym Niemców języka Racine'a, Władyś błąkałby się po amerykanskich Sawanach, a pan drżałbyś w tej chwili pośród pięknych, ale zimnych i niebezpiecznych skał i wąwozów.

* * *

Gdy po uprzejmie spędzonym wieczorze, znalazłem się sam w wysoko położynym pokoju, z którego okien wspaniały roztaczał się widok, na niebotyczne wierzchołki skał, oblane w tej chwili srebrzystem światłem księżyca, myśl moja rozkołysana wspomnieniami przyjaciela i opowiadaniem jego żony, przebiegała długi szereg lat, które dotąd przeżyłem i wyznać musiałem, że w całem mem życiu nie doznałem nic tak złego, z którego-

bym nie mógł przy dobrej woli, wyciągnąć jakieś korzyści; więc matka moja nie myliła się twierdząc: „że niema takiego złego, któreby na dobre nie wyszło“.

Niezwykłe nawrócenie

Lutwik Veuillot sławnym był mężem we Francyi, bo jako wydawca Universa, jednego z większych czasopism katolickich w Paryżu, w ciągu kilku lat ostatnich, świetnem swem piórem znakomicie bronił sprawy Kościoła i religii. Lecz nie zawsze pan Veuillot był szermierzem świętej sprawy; wychowany od dzieciństwa w nienawiści Kościoła katolickiego, przejęty był wstrętem do wszystkich jego praktyk. Nawrócenie swoje zawdzięczał nie Missyonarzom, Doktorom lub Ojcom Kościoła, ale dziecku, własnej swej córeczce.

Opatrzność dała niedowiarkowi cnotliwą małżonkę i dziecko. Matka troskliwie chowała dziewczynkę, ale nie mogła zapobiedz, aby nie psuł jej przewrotnemi swemi zasadami, których gorzkich owoców zbyt prędko skosztował.

Dziecko stawało sią z każdym rokiem gorsze, nieznośniejsze: lekceważyło rodziców, mianowicie ojca, było złośliwe, krnąbrne, nieposłuszne, leniwe, jednem słowem, obraz małego szatanka.

Pan Veuillot zmartwiony i zaniepokojony, chcąc córkę naprawić, zaczął się z nią obchodzić bardzo surowo, lecz to nie pomogło. Zacna małżonka pocieszała go mówiąc:

— Niech tylko mała zacznie się uczyć religii, zobaczysz jak się odmieni, a od dnia pierwszej Komunii świętej nie poznasz córki.

Stroskany ojciec zezwolił, aby dziecko chodziło na naukę religii, tem chętniej, że co dzień patrzał na cnotliwe życie żony, kierującej się zasadami tej wielkiej nauki. I o cudo, w miarę, jak dziewczynka uczyła się prawd Boskich, charakter jej zmienił się zupełnie; z bardzo złej, stawała się kochającą, posłuszną, cierpliwą, skromną, a rodziców otaczał czcią głęboką.

Zdumiony pan Veuillot poszedł sam posłuchać nauki sprawiającej tak cudowne skutki i usłyszał prawdy, o jakich nie miał pojęcia dotąd, a które nasunęły mu wiele, bardzo wiele myśli.

Tymczasem zbliżał się dzień pierwszej Komunii św. który miał dokonać zupełnej przemiany dziewczynki.

W dniu przeznaczonym na spowiedź, po której miały dzieci przystąpić do Stołu Pańskiego, rychło rano weszła córka pana Veuillot do jego gabinetu, a całując ręce ojca, w rzewnych słowach prosiła go, aby jej przebaczył wszystkie błędy i winy, któremi go martwiła i obrażała.

Wzruszony do głębi ojciec, zapewniał dziewczynkę, że nic nie pamięta i wszystko przebacza; wtenczas dziecko obsypując go pieszczotami rzekło:

— Drogi ojczulku, ja mam prośbę wielką do ciebie, nie odmówisz mi?

Pan Veuillot zaczął się domyślać, o co małej chodzi, odparł więc stanowczo, choć był nieco zmięszany:

— Dobrze kochanie, jutro mi powiesz, czego sobie życzysz odemnie.

Dziecku łzy stanęły w oczach, nie prosiła przecież dłużej, stanowczy ton odpowiedzi onieśmielił ją zupełnie,; ucałowała ręce ojca i opuściła jego pokój.

Po chwili pan Veuillot przechodząc przez pokój przytycający do mieszkania córki, spojrzał otwarte, przysłonięte portyerą, i zobaczył dziewczonkę na kolanach z wyciągniętemi rączkami, modlącą się ze łkaniem do Matki Boskiej, której piękny posąg stał na stole. Domyślił się ojciec, za kogo się dziecko modli tak żarliwie, wrócił do siebie a okrywszy twarz w dłoniach, zapadł w głębokie zamyślenie: walka wrzała w wachającem się sercu niedowiarka.

Po godzinie zastała go tak siedzącego córka, która znowu przyszła do gabinetu ojca i goręco zaczęła prosić:

— Ojczulko nie gniewaj się, ale ja do jutra czekać nie mogę! pozwól mi dziś przedłożyć mą prośbę

— Więc mów, czego chcesz od twego ojca!

— Wiesz ojcze, że dziś idę do spowiedzi a jutro do pierwszej Komunii świętej; wielką mie to przejmuje radością, ale dopiero zupełnie będę szczęśiiwą, gdy zazem ze mną rodzice moi przyjmą Komunię św., mama już mi przyobiecała, teraz ciebie proszę ojczulku — tu zaczęła dziewczynka całować jego ręce i nogi.

Pan Veuillot silnie wzruszony, przytulił córkę silnie do piersi i rzekł z powagą:

— Będziesz jutro zupełnie szczęśliwą, przyrzekam ci to.

I odtąd stał się innym człowiekiem; pozyskał zławę w świecie katolickim, ale co lepsza, prawdziwe szczęście w tem i przyszłem życiu.

Zdrowaś Marya.

Zaledwie błyśnie zaranie
I zorza w górę się wzbija,
A już słyszymy dzwonu wołanie
Aby Cię chwalić: Zdrowaś Marya!

Wkrotce, gdy słońce płynąc po niebie
Sam środek jego przemija,
Dzwon znowu woła, abyśmy Ciebie
Chwalili mówiąc: Zdrowaś Marya!

Gdy już dzień jasny zginął w przeszłości,
Któż Cię nie chwali, nie westchie pierś czyja?
Cała natura woła z miłości,
Gdy dzwon zadzwoni: Zdrowaś Marya! *S. G.*

Postęp wojenny żołnierza.

Stary generał Kranzler, okryty orderami i wsławiony w wielu bitwach, w jednej z których utracił nawet nogę, był wielkim miłośnikiem dzieci.

Kiedy więc późny wiek i kalectwo uczyniły głuchym, tego dzielnego syna Marsa na głos surmy bojowej, i wskazały na bezczynne życie, stary żołnierz lubił spędzać całe godziny na placu, gdzie piastunki przyjeżdżały i przychodziły z dziećmi.

Jak to najczęściej bywa, piastunki zostawiwszy dzieci we wózkach, zbierały się razem i gawędziły wesoło; lub co gorsza, przechadzając się z żołnierzami, zapominały często o powierzonych sobie niemowlętach.

Generał ze swej ławeczki obserwował wszystko co się działo na placu; a serce starca, choć zachartowane w krwawych bojach, bolało srodze nad krzywdą, jaka się działa jego ulubieńcom.

Często więc płacz dzieci zwabił go do wózków, w których poprawiał poduszki i kołderki; nierzadko podawał płaczącym buteleczki z mlekiem, które się z buzi dzieci wysunęły; gdzieindziej spędzał muchy lub zasuwał nad śpiącymi malcami firanki i spełniał wiele innych podobnych posług, które mu dużo czasu zajmowały, resztę godzin spędzał bawiąc się ze starszemi dziećmi, lub ubolewając nad obojętnością matek i niedbałością piastunek.

— Cóż to za matki są teraz na świecie — mówił zacny generał — na kilka godzin powierzą oto dziecko, taki nieoceniony skarb, płochej dziewczynie! I gdyby przez ten czas gdy dzieci używają świeżego powietrza, matki były zajęte pożytecznie w domu, możnaby im jeszcze darować. Ale cóż robią w tej chwili, wszystkie te panie, matki płaczących tu dzieci? Jedne w towarzystwie mężów i ich przyjaciół wyjechały także na spacer i przysłuchują się bezbożnym rozprawom niedowiarków. Drugie w gronie sąsiadek i przyjaciółek szarpią sławę bliźniego; inne rozłożone próżniaczo na sofie, czytają francuskie romanse; a jeszcze inne przeglądają dzienniki mód, lub przymierzają zbytkowne stroje przed lustrem. I wszystkie te kobiety śmią nazywać się matkami.

— Szczęście jeszcze — mówił innym razem generał, przechodząc od wózka do wózka — że stary żołnierz znajduje się pomiędzy temi niewiniątkami! Inaczej cóżby się z wami stało małe aniołki? Strach pomyśleć, gdy mnie braknie, kto was tu będzie strzegł? Patrzajcież te niegodziwe dziewczyny ani pomyślą o dzieciach! Widzą się z sobą co dzień, i o czem to paple po całych godzinach? Ale czyż dziwić się można obcym, młodym dziewczynom, kiedy kobiety noszące zaszczytne imię matki, nie dbają o to, co im Bóg dał najdroższego?

— Dzięki Ci Boże — dodawał — żeś mnie dał matkę, która mię sama wypiastowała. Jużto, gdyby matką moją była modna dama, pewnieby mię nie była wychowała na żołnierza — i z dumą spoglądał na swoją drewnianą nogę.

Pewnego razu, generał Kranzler siedząc na swej ulubionej ławeczce, spostrzegł, że pomiędzy innemi, przyjechały na plac dwie piastunki, których nigdy dotąd nie widywał. Jedna z nich ubrana była cała czerwono, druga niebiesko, a ponieważ ubranie młodych dziewczyn było bardzo strojne, domyślał się, że są sługami bogatych domów.

Piastunki owe ustawiwszy wózki w cieniu pod drzewem, tuż obok stanowiska generała, i nakarmiwszy dzieci mlekiem z butelek, oddaliły się spiesznie.

Pan Kranzler zajrzał do wózków i ujrzał w każdym z nich, śliczne kilkomiesięczne niemowle. Po chwili dzieci zaczęły płakać; wtedy czuły generał jął poruszać to jeden to drugi wózek, aż maleństwa uspokojone zasnęły.

Upłynęła jedna i druga godzina, a piastunek nie było; wszystkie inne wózki poznikały z placu, starsze dzieci się rozbiegły, tak, że nakoniec został tylko generał i dwa niemowlęta.

Nareszcie wróciły dwie zbiegłe piastunki, a posiwiały wojownik swobodniej odetchnął; lecz zawcześnie się cieszył! młode dziewczęta zobaczywszy, że dzieci śpią, oddaliły się znowu szybko w boczną ulicę.

Gniew i oburzenie zaczęły ogarniać starego rycerza; powstawszy z miejsca, udał się w stronę gdzie zniknęły piastunki i wkrótce zobaczył je, pomiędzy klombami, na ustronnej ścieżce, przechadzające się w towarzystwie dwóch żołnierzy, i rozmawiające wesoło.

Tego już było za wiele nawet dla cierpliwego generała.

— Jakto! — zawołał do siebie — więc ja będę wam dzieci usypiał, abyście wy bezsumienne, bezduszne istoty mogły całe godziny spędzać w towarzystwie dzielnych ludzi to prawda, bo żołnierzy.... ale towarzystwo takie jest dla was nieodpowiedne, stokroć nieodpowiedne!

— Waszą świętą powinnością jest — prawił dalej pan Kranzler, wracając do dzieci — czuwać nad tymi aniołkami, a nie zawracać głowy żołnierzom niemądrą gadaniną; bo cóż dorzecznego może powiedzieć takie młode, płoche, bez serca stworzenie, jakiem jest piastunka nie pielęgnująca powierzonego sobie dziecka?

— Kara was spotkać musi — kończył swoją cichę przemowę do piastunek generał, a spojrzawszy do koła i przekonawszy się, że nikt nie patrzy na niego, zbliżył się do wózków i szybko zamienił śpiące dzieci; przełożywszy dziecko czerwonej piastunki we wózek piastunki ubranej niebiebiesko i odwrotnie. Dokonawszy dzieła, usiadł spokojnie na ławce, wyciągnął z kieszeni stary dziennik i cały zatopił się w czytaniu.

Niebawem piastunki wróciły i każde wziąłszy jeden wózek, podążyły do domu. Generał udał się za niemi zdaleka.

Piastunki jechały dość długo razem, aż na skręcie ulicy, rozłączyły się, porozmawiawszy chwilkę; piastunka ubrana niebiesko pojechała pro-

sto, a czerwona skręciła w boczną ulicę. Sprytny żołnierz zawahał się chwilę, nie był zdecydowany, za którą pójść; ale pomyślawszy, że prosta droga jest zawsze najlepsza, poszedł za niebieską piastunką.

Po kilku minutach piastunka zatrzymawszy się otwarła furtkę na mały dziedziniec, wśród którego wznosił się dwupiątrowy dom, zamieszkały przez pułkownika Z.

— Ach! więc ta jest piastunką dziecka pułkownikostwa — pomyślał generał, widząc, że służąca zostawiwszy wózek na dziedzińcu, weszła z dzieckiem do domu.

— Ale o co się tu zamówić, aby być świadkiem sceny, jaka teraz nastąpi — myślał dalej protektor dzieci, rad niezmiernie w duszy z udanego podstępu i ciesząc się naprzód karą, jaka spotka niedbałą matkę i niesumienną piastunkę, wyobrażając sobie przerażenie obydwóch.

Kiedy się tak cieszy i biedzi nad wynalezieniem pretekstu wnijścia do domu pułkownika, spostrzega nagle w jednem z okien wystawioną kartę z napisem, że na drugiem piętrze jest pokój do wynajęcia.

Zadowolony ogromnie szedł do domu i poprosił o pokazanie pokoju.

Piastunka ubrana niebiesko, z najspokojniejszą miną, wprowadziła generała do salonu, oświadczywszy, że pani półkownikowa zaraz przybędzie.

Pan Krancler nadsłuchiwał ciekawie, ale cisza niezmącona panowała w domu.

— Ha! dobrały się pani pułkownikowa z piastunką — zawołał zgorszony — wszakże te niegodziwe kobiety nie wiedzą dotąd, że obce dziecko mają w domu.

W tem drzwi się otwarły i pani Z. z dzieckiem na ręku weszła do salonu. Zdumienie i oburzenie zacnego generała nie miały już granic.

— A to dopiero matka! wszak ona nie zna nawet własnego dziecka! — mruknął do siebie i bardzo chłodno odpowiedział na uprzejme powitanie pani domu.

Gdy na zapytanie starego żołnierza o pokój, pani Z. oświadczyła gotowość pokazania mu go, generał nie mogąc już wytrzymać dłużej, zapytał czy piastowane niemowlątko jest dzieckiem pani pułkownikowej i jak starem? Ta z uprzejmym uśmiechem odparła, że to jest jej synek, liczący pięć miesięcy; a dalej, że może pan generał, lubiący tak bardzo dzieci, chciałby poznać siostrzyczkę małego, bardzo do braciszka podobną, bo dzieci są bliźniętami.

Na odgłos dzwonka, weszła do pokoju piastunka czerwono ubrana z drugiem dzieckiem na ręku, a pani Z. zaprezentowała zmięszanemu generałowi, drugą swoję pociechę.

Podczas, gdy pan Krancler bawił się z dziećmi, pani pułkownikowa spytała czerwonej piastunki:

— Dlaczego tyle później wróciłaś ze spaceru po Zuzi?

— Wielmożna pani pułkownikowa rozkazała wstąpić po swój kapelusz — odparła zapytana — a ponieważ nie był zupełnie wykończony, musiałam nań poczekać; dlatego o całe pół godziny wróciłam później.

Generał słysząc zapytanie pani Z. i odpowiedź czerwonej piastunki z trudnością pokrywał zły humor; pochwalił przecież urodę bliźniątek, lecz stanowczo zganił pokój, mówiąc, że nie odpowiada jego wymaganiom.

Następnie pożegnawszy uprzejmą panią pułkownikową, czemprędzej opuścił dom, w którym doznał tak wielkiego zawodu.

Niezadowolanie zacnego generała trwało cały tydzień, przez który nie pokazał się ani razu, pomiędzy swoimi ulubieńcami. *S. G.*

Sprawa prowadzenia metryk na Węgrzech.

W parlamencie węgierskim, jak się tego spodziewać można było, została poruczoną sprawa prowadzenia metryk i znane rozporządzenie ministeryalne w tej sprawie. Poseł Iranyi wnioskiem o zaprowadzenie wolności wyznań potrącił o tę kwestyę i z tej sposobności korzystali dwaj ministrowie, hr. Szapary i hr. Czaky, by w długich mowach, przerywanych często oklaskami liberalnej prawicy, zaznaczyć w tej sprawie stanowisko rządu. A stanowisko rządu według enuncyacyi panów ministrów jest stać niezwrószenie na zajętem stanowisku i przy wydanem rozporządzeniu. Dostało się w tych mowach dosyć i gorliwym kapłanom, którzy nie chcąc katolickich dzieci wydawać herezyi, rozporządzeniu temu się sprzeciwiają i mimo surowych kar, do niego się stosować nie chcą. Była mowa i o wewnętrznej rewolucyi w kościele węgierskim, a mianowicie kleru przeciw Episkopatowi, wogóle o wszystkiem, co efekt wywołać mogło. Ale jednego w tych mowach było brak, t. j. tego, co rozporządzeniu temu najpierwsze powagi prawnicze węgierskie zarzucają — uzasadnienia, że rozporządzenie to na prawnych jest oparte podstawach. — Pisma liberalne, biorąc asumpt z owych mów, zatrąbiły na tryumf. I zdawaćby się może mogło słusznie. Tymczasem tak nie jest. We Włoszech z foteli ministeryalnych inaczej się nieraz mówi, a inaczej nieraz działa. Chcąc większości liberalnej zadość uczynić, nie mogli ministrowie inaczej mówić jak mówili, a mimo to pewną jest rzeczą, że z drugiej strony dał rząd węgierski i w Ostrzygoniu i w Wiedniu i w Rzymie inne zapewnienia, upraszając tylko o cierpliwość, by ze sprawy tej wyjść z honorem, by nie był pod naciskiem zmuszony wycofać tyle dla katolickiej ludności Węgier niesympatycznego rozporządzenia. Zapowiadali panowie ministrowie, że kulturkampfu się nie boją i winę, jeśliby do niego przyjść miało, zwalają na opornych duszpasterzy. To tak wygląda, jak gdyby sam kler tylko parafialny stał przeciw rozporządzeniu, jak gdyby nie miał za sobą, albo właściwie, jak gdyby nie stali na jego czeli równie gorliwi Biskupi, jak gdyby prymas węgierski kardynał Simor, sam od początku przeciwnik owego

rozporządzenia nie trzymał w swem ręku nici całej tej sprawy i nie kierował nią z rzeczywiście zdumiewającą oględnością i umiarkowaniem, jak gdyby wreszcie sama Kurya rzymska nie stała po stronie duchowieństwa węgierskiego. Że dotąd do faktycznego kulturkampfu na Węgrzech nie przyszło, to zawdzięczać wypada jedynie umiarkowaniu kardynała Simora, i być może, że nie przyjdzie, bo rząd węgiersk, który tylko czeka dogodnej chwili do wybrnięcia z niemiłej sytuacyi stworzonej przez rozporządzenie, sam się o to postara, czy towniesieniem noweli do zmiany odnośnych ustaw, czy wreszcie w inny sposób. Grozili wprawdzie panowie ministrowie zaprowadzeniem cywilnych urzędów do prowadzenia metryk, ulżyłoby to w każdym razie duchowieństwu i pozwoliliby Mu skuteczniej zająć się pracą duszpasterską

To jest jednakże pewnem, żę sprawa ta w ręku tak gorliwego księcia Kościoła, jakim jest J. E. kardynał Simor, nie skończy się ze szkodą dla interesów Kościoła.

Sprawa ta sama również była przedmiotem obrad następnych posiedzeń, a mianowicie wniósł deputowany Szivak, aby wyrazić ministrom uznanie za zajęte w sprawie prowadzenia metryk stanowisko. Znaczy to to samo, co odciąć zupełnie rządowi węgierskiemu drogę odwrotu i pokojowego załatwienia tego konfliktu. Dyskusya przybrała nadzwyczaj burzliwy charakter a raczej wyrodziła się w awanturę i to wywołaną, co jest rzeczą bardzo ubolewania godną przez dwóch deputowanych księży, należących do różnych politycznych obozów. — To dopiero woda na młyn liberalizmu: Podobne sceny raczej sprawę zabagnić, niż na właściwe tory sprowadzić są zdolne i utrudniają tylko działanie czynników dążących do pokojowego załatwienia tej drażliwej kwestyi.

Położenie katolicyzmu w Anglii.

Według kardynała Manninga.

(Dokończenie).

Teraz trzebaby być zbyt wiekim fanatykiem, by wierzyć w możliwość „napaści“ papiezkiej. Pojęcie o papieztwie, jakie sobie wytworzono przez pewien czas w Anglii, miało swoje śródło w niejasnem wspomnieniu Armady, spisku prochowego i panowania Jakóba I. od roku 1870 co najmniej nikła tylko mniejszość może obawiać powrotu tych wypadków.

Katolik angielski, dzierzący jak Mgr. Manning purpurę rzymską, znakomity i szanowany kardynał Newnan,pisał w roku 1864 w swej *Apologia pro vita mea,* w której się bronił niesłusznym zaczepkom: „Ufność w moje uniewinnienie jest tem większa, że sędziowie moi są moimi ziomkami. Uważam, to prawda, Anglików za najpoderzliwszych i najdrażliwszych z ludzi. Uważam ich za nierozsądnych i niesprawiedliwych w chwili rozdrażnienia, lecz wolę być Anglikiem, jak nim też jestem, aniżeli należeć do którejkolwiek innej rasy ludzi na ziemi. Są oni równie wspaniałomyślni, jak są prędzcy i gwałtowni, a ich żal po dokonanej niesprawiedliwości jest większym od winy.

Mgr. Manning, także z ufnością odezwał się do swoich ziomków i on także — jak zauważył *Spektator* — umiał do nich przemówić. Z jaką troskliwością n. p. unikał dotknięcia ich, a tem więcej niesprawiedliwie, powątpiewając o ich szczerości religijnej! „Protestuję, głośno powiedzial 26 czerwca 1882 w mowie wygłoszonej na zebraniu katolików i powtórzonej przez *Timesa,* przeciwko temu, jakobym nie uważał za chrześciański ludu angielskiego, który jest ludem ochrzczonym, który wierzy w znak Apostołów, który wierzy, że chrześciaństwo jest objawieniem Bożem, który wierzy w natchnienie Pisma św. Zdaje mi się, iż nie możecie Anglikowi większej wyrządzić obelgi, jak mówiąc mu: „Nie jesteś chrześcianinem“.

Tego samego roku powrócił on do tej samej idei w broszurce zatytułowanej „Kościół a nowoczesne społeczeństwo“ i wyrażał radość z tego powodu, że w Anglii wreszcie katolicy stoją na równi z swymi protestanckimi współobywatelami“. Ustęp ten zasługuje na to, aby go przytoczyć w całości.

„Anglia mianowicie w kilku nowszych koloniach — pisze Mgr. Manning — przedstawia nam przykład najlepszy społeczeństwa pozbawionego swej doskonałości katolickiej, które nie utraciło jednakże nazwy społeczeństwa chrześciańskiego. Religia jest tam niedoskonała albo niezupełna, to prawda, lecz jest taką, jaką ją przekazały poprzedzające wieki. Anglia równocześnie powróciła prawie całkiem do przyrodzonego porządku t. j. powróciła do praktycznego wierzenia prawd religii naturalnej i czterech cnót kardynalnych. Co do religii, dodaje kardynał Manning, nie istnieje ani w Anglii, ani w żadnej z kolonij angielskich prawo karne w sprawie wyznania religijnego. Kościół cieszy się tam wszelką swobodą duchową; nikogo tam nie mogą sądzić i karać w jakikolwiek sposób z powodu jego zapatrywań religijnych nic nie przeszkadza, o ile wiem, katolikom czy w Anglii, czy w koloniach angielskich, w brania udziału we wszystkich prawach państwa, we wszystkiem, co dotyczy życia domowego, społecznego, świeckiego i politycznego. Korona i wielkie kanclerstwo są jedynymi godnościami, których dzierzyciele mają być protestantami.

Z kilku wyjątkami, jak prezydowanie w sądzie rozwodowym, mianowanie na godność lub beneficyum kościola krajowego i inne funkcye tego rodzaju, nie wiem,aby istniał jakikolwiek urząd publiczny, któregoby katolik nie mógł pełnić z całą spokojnością sumienia. Każdemu katolikowi wolno zgłosić się na deputowanego, i zasiadać tak w izbie naszej, jak w izbie lordów; wolno mu wstąpić do magistratury, do wojska i marynarki i przedstawić się do przyjęcia do funkcyi stanu, cywilnych, czy politycznych bez różnicy. O ile tylko jest zdolnym, może brać udział we wszystkich sprawach państwa“.

Czytając pierwszy raz te słowa wkrótce po ich ogłoszeniu, nie mogliśmy się powstrzymać od pomyślenia o rysunku sławnego humorysty Linley'a

Sombourne, zamieszczonego krótko przedtem w *Punchu.* tym *Charivari* londyśskim. W swej ascetycznej chudości przed płótnem rozłożonem na sztangach, stoi kardynał Manning i przypatruje się „obrazowi z fantazyi, czemby był mógł być“, gdyby nie był został katolikiem.... tłustym dygnitarzem Kościoła anglikańskiego; u dołu rysunku stoi kilka wierszy, z których ostatni brzmi: „Pomimo to zostaje Anglikiem“.

Katakomby i Papież Leon XIII.

Według Monsignora de Waal.

Monsignore de Waal, szambelan papieski, rodem z Westfalii, jeździł niedawno po Niemczech, miewając wykłady o katakumbach rzymskich i Ojcu św.

Powierzchowność księdza de Waal niezbyt uderzająca: jest wzrostu średniego, już niezbyt młody. rysów twarzy nie bardzo regularnych, nos ma duży, oczy zasłonięte okularami, za to z oblicza bije rozum i nauka. Głoś jego donośny, wyraźny i przyjemny, mówi zaś bardzo zajmująco, objaśniając rzecz doskonałemi fotografiami, a choć już lat 22 przebywa w Rzymie, wysławia się po niemiecku zupełnie czysto i płynnie.

Celem jego wykładów jest zebranie funduszów na rozszerzenie zakładu Campo Santo, tak zwanego od starego niemieckiego cmentarza. Zakład ten, zostający pod kierownictwem księdza de Waal, znajduje się w Rzymie tuż przy bazylice św. Piotra, a posiada fundacyą na pięciu księży rodu niemieckiego, którzy mają molne pomieszkanie i utrzymanie, może ich jednak mieszkać bezpłatnie i 12, ale ci, na których niema fundacyi, własnym się kosztem utrzymywać i naukami zajmować muszą, osobliwie archeologią i historyą. Jest też tam przytulisko dla pielgrzymów z Niemec i Austryi.

Księża z Campo Santo, mianowicie sam Monsignore de Waal i pracujący pod nim Monsignore de Wilpert z Bawarowa na Szlązku, wielkie położyli zasługi około zbadania katakumb, których odkopywaniem kieruje sławny Jan de Rossi.

Katakomby ciągną się pod całym Rzymem, tworząc niejako drugie podziemne miasto. Długość wszystkich ganków równa się długości całych Włoch, czyli przestrzeni, której przejechanie koleją żelazną wymaga dwóch dni i jednej nocy. Niektóre katakomby mają do 5 pięter, wszystkie zaś są pierwszych chrześcian dziełem. W pierwszych wiekach chrześciaństwa chowanie ciał w tych podziemiach nie doznawało trudności, gdyż prawo rzymskie brało w opiekę miejsca ostatniego spoczynku, zaczem żaden poganin do wnętrza ich wejść się nie ważył. Dopiero za czasów Dyoklecyana poczęto zakłócać ich spokój, wskutek czego chrześcianie zamurowywali drogie szczątki męczenników lub je umieszczali w głębi nowych ganków lub piąter. Do IV wieku chowano w katakombach, odkąd, a mianowicie od zburzenia Rzymu przez Wizygotów w r. 410, zaniechano dawnego zwyczaju. Barbarzyńskie ludy, kttóre po kolei zajmowały i plądrowały Rzym, jak Ostrogoci i Longobardowie, nie przepuszczały i tym przybytkom, aż w końcu poszły w taką poniewierkę, że za Pawła I w roku 761 pasterze owce wpędzali do nich. Skutkiem tego kazał tenże Papież relikwie świętych męczenników przenieść do kościołów św. Stefana i św. Sylwestra, które sam zbudował, a Paschalis I, aż 2300 ciał umieścił w r. 817 w kościele św. Praksedy. W XII wieku nic już nawet nie wiedziano o podziemnym Rzymie.

Dopiero 31 maja 1578 roku odkryto skutkiem zapadnięcia się części ulicy Porta Salaria katakombę św Pryscyli, i ten wypadek dał pochop do podjęcia poszukiwać. Wielu uczonych zajęło się badaniem katakomb, ale wszystkich przewyższył adwokat i prokurator maltańskiego zakonu, Antonio Bosio z Malty, który cały majątek na ten cel poświęcił i 33 lat niezmordowanie w tym kierunku był czynny. Wdzięczna potomność dała mu przydomek Krzysztofa Kolumba katakomb. W naszym wieku głównie odznaczy się jako badacz katakomb de Rossi, a po nim ksiądz de Waal, Papież Pius IX przeznaczył na ten cel 18.000 franków, której to sumy i Leon XIII udziela. Od czasu Piusa IX wydano już 1,000.000 franków.

Do katakomb latem schodzić niebezpiecznie, ba łatwo zaziębić się i febry dostać można. Dawniej, gdy jeszcze umarłych tam chowano, daleko niebezpieczniej było i przykrzej z powodu rozkładu ciał. Wielkiego więc poświęcenia byli owi „fossores“ czyli grabarze, którzy z narażeniem życia chowali umarłych w owych podziemiach. Starano się jednak niebezpieczeństwo zmniejszyć, balsamując ciała i robiąc szczeliny, przez które powietrze i światło do wnętrza dostać się mogło. Monsignore de Waal znalazł w kilku grobowcach brunatne, wielkości dwóch pięści przedmioty. Przybliżając je do świecy, przekonał się, że to mocno zwinięte płótno, z którego jeszcze po tylu wiekach przyjemna woń się rozchodziła. Więc i w ten sposób usiłowano pobyt w katakombach znośnym uczynić.

Ksiądz de Waal pokazywał mnóstwo fotografij, które z katakomb pierwszy zdejmować począł ks. dr. Wilpert i to z jak największą dokładnością, czem sobie zjednał wielką zasługę. Sam Monsignore de Waal odkrył pomniki z pierwszego wieku, na których wypisane było imię Piotr, co naprowadziło na myśl, że tam w katakombach spoczywało ciało Apostoła, nim je przeniesiono na miejsce, gdzie dotąd spoczywa w bazylice św. Piotra. Utwierdzała go w tem mniemaniu okoliczność, że nikt pomiędzy Rzymianami tego imienia w owych wiekach nie nosił. Dopiero gdy więcej takich pomników odkrył z napisem Piotr w łacińskim i greckim języku, przyszedł do przekonania, że w tych miejscach spoczywali ludzie, których św. Piotr ochrzcił, było bowiem zwyczajem u Rzymian, że ten, któremu ktoś dobrodziejstwo wyświadczył, przyjmował imię dobroczyńcy.

Tam w katakombach odkryto także najstarszy wizerunek Matki Boskiej z I wieku, więc z czasu,

gdy jeszcze żyli ludzię, którzy Ją osobiście znali. Siedzi Ona na tronie z Dzieciątkiem Jezus przy piersi, a obok niej stoi prorok Izajasz, wskazując podniesioną prawą ręką na gwiazdę nad Maryą, jakby prorokował o dziewiczej Matce Boskiej i wielkiem świetle, które wejść miało nad Izraelem, w lewej zaś trzyma zwinięty pergamin, na którym proroctwo spisane. Inny wizerunek Matki Boskiej przedstawia Ją samą z Dzieciątkiem, a po obu stronach widać monogram Chrystusa. Na wszystkich zresztą Jej wizerunkach, znalezionych w katakombach, siedzi Ona na tronie; Ona też przyjmuje dary, jakie składają Trzej Królowie. Na jednym wizerunku jest dwóch królów, na drugim zaś czterech, co oczywiście malarz uczynił tylko dla zachowania symetryi.

Zajmujący jest obraz, na którym Chrystus, przedstawiony jako młodzieniec, trzyma trzy palce do góry, jako znak potrójnego zaparcie św. Piotra. który stoi przed nim z dwoma palcami na ustach, co oznacza, że się nie zaprze, u nóg zaś św Piotra kogut na dowód, że się zaparł. Dalej dwaj żołnierze prowadzą św. Piotra do więzienia, potem następuje Mojżesz uderzający laską, z której wytryska woda, a dwaj izraelici chciwie ją piją. Nie wiedziano z początku, coby Mojżesz na tym obrazie miał za znaczenie, aż Monsignore Waal wpadł na myśl, że ów że Mojżesz oznacza św. Piotra, w czem go utwierdził drugi obraz na szkle małowany, gdzie Mojżesz tak samo jest przedstawiony, a obok mieści się napis: Piotr. Jezus więc skałą, z której wszystkie łaski płyną przez Piotra, — oto znaczenie tego obrazu i symbolu nieomylności Papieża. Dodać należy, że św. Piotr zawsze trzyma laskę w ręku, jako oznakę swej zwierzchniczej godności.

Na jednym obrazie siedzi Jezus na wywyższeniu, po jednej stronie stoi św. Paweł, któremu poleca głoszenie słowa Bożego, po drugiej św. Piotr, któremu daje tablicę z napisem: „Legem-dat“, czyli pełnomocnictwo rządzenia, „lex“ bowiem znaczy nie tylko prawo, ale i pełnomocnictwo. Na innym wizerunku baranek leży na skale, z której wypływają cztery źródła żywota, obok trzy owieczki, po jednej stronie napis „Betleem“, co oznacza narody, które z pogaństwa przeszły na chrześciaństwo, po drugiej napis Jeruzalem, co oznacza nawrócenie żydów.

Znajduje się też w katakombach obrazek św. Pryscyli z III wieku, przedstawiający obłóczyny, więc już w owym czasie na zachodzie dziewice poświęcały się Bogu, W środku stoi zmarła niewiasta. jakby w brunatnym habicie, boso, z zarzutką białą na głowie, ręce i oczy wznosi do góry, po jednej stronie Biskup na tronie, przed nim taż sama niewiasta trzyma małą, czworograniastą, białą chusteczkę, a obok stoi pomagający w obłóczynach dyakon z wielką chustą w ręku; Biskup wskazuje palcem na Matkę Boską, po drugiej stronie umieszczoną, jako wzór do naśladowania. Często też znachodzą się wizerunki niewiast z napisami: Virgo Deo dicata, Virgines Dei i t. p.

Ojca św. Leona XIII, przedstwia Monsignore de Waal w ten sposób:

Ojciec św., przeszło ośmdziesięcioletni starzec, nadzwyczajnej jest czerstwości ducha, chociaż ciało jest zgrzybiałe. Twarz blada; pomarszczona, ale oko pełne ognia i żywości, a głos silny i wyraźny. Wstaje co dzień o godzinie 6 rano; lubo często do późnej nocy pracuje; raz nawet zastano po o godzioie 6 rano śpiącego w ubraniu przy biórku, lampa się jeszcze paliła. W ostatnią Wielką Środę pracował do 6 rano, potem na pół godzinki położył się w ubraniu, a następnie odprawił całe wielkoczwartkowe nabożeństwo.

O wpół do ósmej co dzień miewa Mszę św. w małej kapliczce, do której tylko najbliżsi i służba mają przystęp, co niedzielę zaś w większej kaplicy; wtedy drzwi otwierają się do sali, w której znajduje się najwięcej 25 osób. Te też przyjmują Komunie św. z rąk Papieża. Audyencyi udzielać nie lubi, bo mu to czas drogi zabiera i męczy go, skoro jej jednak udzieli, wtenczas, choćby i 200 osób było, do każdej łaskawie kilka słów przemówi. Pewnego razu nadeszły ważne listy z Berlina, któremi był bardzo strapiony, a pomimo to na audyencyi nikt nie poznał, jaki smutek serce jego uciska.

Od godzinny 9 do 12 przysłuchuje się naradom Kardynałów, lub przyjmuje prywatnie inne osoby, a cokolwiek posłyszy ważnego, pilnie zapisuje, i tych notatek ma tyle, że kiedyś będą one nadzwyczaj zajmującym zbiorem. Członków niemieckiego stronnictwa centrum, dostojników kościelnych, znakomitych ludzi, zawsze przyjmuje i szczegółowo wywiaduje się o wszystkie stosunki.

Pamięć jego nadzwyczajna, nieraz słucha relacyj zebranych kardynałów po kilka godzin, a w końcu głos zabiera i z największą dokładnością sprzeczne zdania zestawia i swoje w końcu wypowiada. Pracuje zaś szybko i bezustannie i wymaga toż od podwładnych pospiechu, kiedy potrzeba. Gdy w czasie walki kulturnej nadchodziły referaty z obrad sejmowych w Berlinie, musiano mu wszystkie mowy w całej rozciągłości natychmiast tłómaczyć. Monsignore de Waal miał także pewnego razu wykonać tłómaczenienie mów Bismarka i Windhorsta. Zabrał się tedy do pracy, siedział noc całą, pijąc czarną kawę i paląc mocne cygara, by sen odpędzić, a gdy skończył i przyniósł tłómaczenie Papieżowi, rzekł tenże: „Finalmente venite! (Nareszcie przychodzicie!)

Po niemiecku dawniej umiał nieźle, zwiedzał bowiem Niemcy i miał jako Arcybiskup sposobność mówienia tym językiem, potem zapomniał, nie używając. Jednakże do pielgrzymów niemieckich zawsze kilka słów w ich języku przemawia.

Sam na siebie bardzo mało potrzebuje, na utrzymanie dzienne wyznacza pięć franków, a tak mało jada, że kucharz jego oświadczył, że nie warto dla Ojca św. gotować. Przy objedzie pije tylko kieliszek starego czerwonego wina. Pewnego razu zalecał mu kardynał-Arcybiskup Granu Simor tokajskie wino na wzmocnienie i obiecał przysłać kilkanaście butelek. Jakoż po powrocie Kardynała do Węgier przybyła do Rzymu skrzynia z winem, Monsignore de Waal był przy jej odbijaniu. Jedna bu-

telka była stłuczona, ale jeszcze było w niej cokolwiek wina. Nie można jej było dać Papieżowi, więc Monsignore de Waal wypił tę troszeczkę z towarzyszem, a było to wino, jak zapewnia, znakomite Ojciec św. ani go nie spróbował i zapewne ofiarował go jakim szpitalom.

Dla krewnych swych nie jest zbyt szczodry. Pewnego razu przybył ktoś z miasteczka jego rodzinnego Carpineto i prosił przy pożegnaniu o pażegnaniu o pamiątki dla papieskiej rodziny. Ojciec św. dał medaliony po dwa franki, a gdy go proszono o droższy i większy dla siostry, odrzekł, że żyjąc z świętopietrza, oszczędać musi.

Wydatki ma ogromne; nieraz pół miliona, milion franków wyznacza Propagandzie dla podźwignięcia kosciołów w Chinach lub Indyach, gdy je prześladowania lub wylewy rzek w gruzy zamienią. Prócz tego utrzymanie poselstw, potrzeby rozmaitych kościołów, szkoły i inne kościelne instytucye, wielkie pachłaniają sumy. Liczne też zachodzą prośby o wsparcie, mianowicie obecnie, gdy rząd włoski zagarnia własność Kościoła, gdzie może. Tak pewien klasztor żeński, tak ogołocony został z zasobów, że na każdą zakonnicę przypada zaledwie 20 fenigów, i z tego mają reparować klasztor, utrzywywać służbę Bożą, ubierać się i żywić!

Jak dla wszystkich, tak i dla cesarzewicza Fryderyka (późniejszego cesarza Fryderyka III) Ojciec św. nader okazał się uprzejmym. Cesarzewicz przyjechał w pełnym mundurze, obwieszony orderami, w towarzystwie kilku jenerałów. Wprowadzony do sali, gdzie nań czekał Leon XIII, skłonił się z uszanowaniem trzy razy po sobie, trzymając hełm pod pachą, Papież zaś postąpiwszy kilka kroków ku niemu, wziął go za rękę i po[illegible]dził na przygotowane siedzenie, odzywając się, że miło mu powitać na tem miejscu jako tego, którego poprzednik jego przyjmował jako dziecko. Po bardzo przyjacielskiej rozmowie przywołano towarzyszy cesarzewicza, którzy tymczasem zabawiali się rozmową z Monsignorami w bocznej sali, i po ich przedstawieniu, przyczem Ojciec św. do każdego uprzejmie przemówił cesarzewicz znowu oddał trzykrotny pokłon i wyszedł.

Nie tak pięknie odbyły się odwiedziny cesarza Wilhelma II, czemu nie był winien ani on, ani Papież, ani książę Henryk. Cesarz zachował wszelkie względy; nie z Kwirynalu, lecz z pałacu p. Schlösera, umyślnie sprowadzonymi z Berlina końmi i karetą przybył do Watykanu. Po nim zaś w pół godziny miał przyjechać książę Heryk. Ten sprzykrzywszy sobie czekanie w ambasadzie, rzekł do swych adjutantów: „Czy mamy czekać tu, czy w Watykanie, to jedno. Jedźmy do Watykanu“. Jakoż pojechali. Książę Henryk nie myślał wcale, jak zaręczał Mosignor de Waal, naoczny świadek odwiedzin, przeszkadzać rozmowie dostojnego brata z Papieżem. Tymczasem hrabia Herbert Bismark zażądał od marszałka dworu, aby natychmiast oznajmił księcia. Ów był w większym kłopocie, bo wedle umówionego programu miał rozkaz dopiero po upływie pół godziny wprowadzić księcia Henryka, ale naglony przez Bismarcka, zapukał do komnaty papiezkiej, z której odezwał się głos: „Un moment“. „Zaraz albo nigdy! — zawołał do mnie hr. Bismarck — pruski książę nie zwykł czekać w przedpokoju“. Wtedy drzwi otworzono i wszedł książę Henryk. Scena ta niemiłe na wszystkich sprawiła wrażenie.

Mylą się ci, co sądzą, że Papież nie jest niewolnikiem w Watykanie, owszem ruszyć on się z niego nie może, nie chcąc się narazić na jak największe przykrości. Od czasu zajęcia Rzymu bowiem powiększyła się ludność miasta o 100.000 ludzi, ale jakich! Są to po większej części urzędnicy, zawzięci nieprzyjaciele Papieża, lub hałastra, skora do wsze kich wybryków, a postawą rządu ośmielona.

Na dowód jakie nieczpieczeństwo grozi Papieżowi, może służyć złożenie zwłok Piusa IX w kościele św. Wawszyńca.

Ciało każdego Papieża spoczywa w kościele św. Pioira dopóty, dopóki grobowiet dla niego w miejscu, jakie sam sobie obrał za życia, nie dokończony. Otóż, gdy w kościele św. Wawszyńca ukończono grobowiec dlp ś. p. Piusa IX, postanowiono zawieść tam ciało jego nocą, bez żadnej pompy, aby nie zwracać uwagi i nie drażnić wrogich żywiołów. Tymczasem wieść się o tem rozeszła po Rzymie. Mnóstwo ludu zaległo plac św. Piotra i ulice, kędy jechać miano. Kiedy karawan z ciałem nieboszczyka Papieża, zaprzężony czterema końmi, po za którym dwa postępowały powozy, przejeżdżał około Campo Santo, puszczono z polecenia Monsignora de Waay sztuczne ognie, które wspaniale oświecały cały pochód i bazylikę św. Piotra. W tej chwili 12 księży z Campo Santo stanęło ze świecami w ręku po obstronach karawanu i oddtąd przez całą drogę tworzyli straż honorową. Z placu św. Piotra dwie ulice prowadzą do mostu św. Anioła. Przewrotni i niegodziwi ludzie, wysypawszy z pobliskich kawiari, mieli zamiar rzucić się w jedną ulicę i zastąpić drogę pochodowi, a gdy im się to nie udało, pobiegli drugą, chcąc, jak o tem ksiądz de Waal przekonany, na moście św. Anioła poprzecinać koniom szory, pochód wstrzymać i ciało Papieża wrzucić do Tybru. Zamiar spezł na niczem. Ksiądz de Waal słyszał jednak na własne uszy, jak ktoryś z motłochu krzyknął: „Wrzucić go do Tybru!“ Na Piazza oi Venezia banda bezbożników odcięła od karawanu jedną część towarzyszącego zwłokom ludu i ściśniętym szeregu postępując, wyśpiewywcły pieśń Garybaldego, a potem drugą wesołą, swawolną. Rzucano nawet kamieniami na karawan, a jeden znacznej wielkości o mało nie zabił pewnego Biskupa. Gdy się wreszcie zatrzymano przed kościołem św. Wawrzyńca, motłoch zastąpił drogę. Wtedy katolicka młodzież włoska rzuciła się z pochodniami na bezbożników, jednemu wypalono oko, drugich poparzono, poczem reszta się rozpierzchła, i tak wstęp do kościoła gwałtem sobie otworzono. Policya zachowywała się tak, jakby nie chciała zapobiedz nieporządkom, dano jej bowiem rozkaz, aby dopiero wtedy użyła broni, gdy krew się poleje.

Nazajutrz w liberalnym piśmie „La Tribuna“ pojawił się artykuł, w którym ku hańbie XIX w.



Smiech i płacz.

umieszczone były te słowa: „Szkoda. że ścierwa nie wrzucono do Tybru!“

Mieszkając wśród takich ludzi, nie może Papież wychylać się z Watykanu. Mogą nawet zajść okoliczności, w których będzie msiał Rzym opuścić, chociaż to sprawa trudna, bo musianoby zabierać wszystkie archiwa, a jakże zabezpieczyć bogate zbiory watykańskie przeciwko barbarzyństwu? okóliczność taka byłaby. gdyby n. p. wojna wybuchła z Francyą. Wtedy ambasador francuski przy Kwirynale musiałby wyjechać do domu. drugi zaś pozostałby przy Watykanie. Gdyby więc Włosi pobici zostali, co bardzo prawdopodobnem, wtedyby nieprzyjaciele Kościoła ogłosili Papieża zdrajcą, a choćby i wszyscy ambasadorowie w Rzymie stanęli w obronie Watykamu, nicby wobec rozjuszonego motłochu nie zdziałali. — Mógłby wreszcie Papież skłonić ambasadora francuskiego przy Watykanie do opuszczenia Rzymu, ale i toby się na niewiele przydało-

Pytanie tylko, gdzieby się Papież podział. Pewien ze znakomitych dygnitarzy Kościoła wypowiedział myśl, która w danym razie może się ziścić. Otóż jak Piotr święty założył stolicę chrześciaństwa nie na wschodzie, lecz na dalekim zachodzie, nowe tam rozniecając życie, tak i Papież może na dalszy jeszcze zachód się uda, gdzie z pewnością z otwartemi ramiony przyjęty zostanie — do Ameryki. Obecność Papieża w kraju, gdzie tyle teraz tekt religijnych, mogłaby stać się hasłem do ich zjednoczenia pod sztandarem następcy św. Piotra. Lecz miejmy nadzieję, że Papieże pozostaną w Rzymie i odzyskają z czasem swe prawa i niezawisłość, która im tak potrzebne do swobodnego wykonywania wzniosłego posłannictwa, czego daj Boże doczekać! *St. K.*

„Dziennik Polski“ o święceniu Niedzieli.

Gdy Najprzewielebniejszy Ksiądz Biskup Tarnowski w liście swoim pasterskim napiętował działalność antikatolicką niektórych naszych pism, rzuciła się na Dostojnego tego Pasterza *Nowa Reforma* w całym szeregu artykułów.

Jak zaś słuszną była przestroga pasterska, osądzi każdy kto weźmie do ręki *Dziennik polski* nr. 310 z 8 listopada b. r. Tam w artykule wstępnym zatytułowanym „Z Sejmów przedlitawskich“ czytamy następujące słowa, godne może wiedeńskiej Nowej Pressy lub innego jakiego żydowskiego dziennika — ale które bezwarunkowo w piśmie podobnem, niby katolickiem — miejsca znaleść nie powinny.

Otóż czytamy tam co następuje: „W Sejmie tyrolskim *przeforsowali klerykały wniosek energiczniejszego niż dotychczas święcenia niedziel i świąt.* Nie ulega wątpliwości, że ze względów etycznych i ekonomicznych odpoczynek jednodniowy po sześciu dniach pracy jest rzeczą bardzo wskazaną. Pod tym względem niema już zapewne różnicy w zapatrywaniach. Że dzień ten dla odpoczynku przymusowego *jest niedzielą, to jest rzecz podrzędniejszego znaczenia. Chodzi bowiem o odpoczynek po natężającej pracy fizycznej a nie o święcenie w znaczeniu religijnem.*

Gdy w Radzie państwa uchwalono ustawę o wypoczynku niedzielnym, podnoszono wyraźnie stronę ekonomiczną i społeczną tej sprawy, wniosek zaś uchwalony przez Sejm tyrolski wypada w zupełności a raczej zmienia zasadniczo i radykalnie charakter ustawy uchwalony przez Radę państwa. Wniosek sejmowy ma być wrzekomo uzupełnieniem ustawy państwowej, w istocie będzie jej spaczeniem. Pierwszą przywitano jako zapowiedź zwycięstw słusznych humanitarnych w dziedzinie ekonomicznej i społecznej, która zmusza pracodawców do udzielenia robotnikom dnia wolnego do odpoczynku — druga jest zwycięstwem *reakcyi klerykalnej,* z której lud bardzo mały będzie mieć pożytek. Doprawdy Tyrol musi być bardzo szczęśliwym krajem, jeżeli już *ważniejszy nie ma do załatwienia spraw w Sejmie, prócz przymusowego religijnego święcenia niedzieli i świąt.*

Trudno zaiste uwierzyć, że podobna enuncyacya znalazła miejsce w piśmie redagowanem przez katolików.

Ale wróćmy do treści samego artykułu. Bóg nakazując święcenie niedzieli i świąt, miał na celu nie tylko kult religijny — ale także i humanitarne cele, dania wypoczynku po sześciodniowej pracy. A że z tym wypoczynkiem fizycznym połączył Kościół cześć Bożą że na tym wypoczynku położył stempel religii nakazał w tym dniu spoczynku dziękować Bogu za miniony tydzień i prosić o łaskę Jego na przyszłość, to połączenie takie podnoszą moralność i bogobojność narodów, tem dodatniejszy wpływ wywiera. Dopóki wiara żywa i silna tkwiła w sercach narodów, nie potrzebne były wcale żadne ustawy o święceniu niedziel i świąt, bo prawo Boże i Kościoła wystarczyło samo. Ale gdy skutkiem doktryn liberalizmu osłabiła się wiara, gdy właśnie liberalni fabrykanci zmuszali swych robotników do łamania przepisów Kościoła, widziało się ustawodawstwo państwowe zmuszone „w celach humanitarnych“ przyjść Kościołowi w pomoc i ustawą nakazać to, co prawo Boże i Kościoła od wieków przepisywało. Że połowiczna ustawa państwowa. mająca na oku tylko cele humanitarne, nie zadowolniła mieszkańców katolickiego Tyrolu, którzy w uczuciu swojem katolickiem widzą się obrażeni, (a i u nas gorliwi katolicy to samo czują), że sklepy w niedziele i święta w czasie nabożeństw są otwarte, i że po wielu fabrykach ruch jak za dni powszednich — toż jest to tylko chwalebna gorliwość.

Nasz liberalny „Dziennik polski“ z tem się atoli pogodzić nie może. Jemu nawet obojętną jest rzeczą, który dzień tygodnia ma być święcony; możeby się na sobotę zgodzili i razem z żydami zasiedli do szabasu? Dalej w święceniu niedzieli widzi Dziennik polski jedynie ustanowienie humanitarne spoczynku po sześciodniowej pracy. Religijne znaczenie niedzieli u niego nic nie znaczy. To charakteryzuje dostatecznie przekonania katolickie „Dzien-

nika polskiego„, Wobec takich enuncyacyj dziennikarstwa, trudno więc, by Biskupi katoliccy biernie się się zachowywali, by milczeniem pomijali takie napady na prawa i tradycye Kościoła. Czyż podobne głosy dziennikarskie nie szerzą indyferentyzmu, czy nie osłabiają wiary, oświadczając wbrew prawu kościelnemu, że niedziela jest jedynie dniem odpoczynku, a nie jest równocześnie dniem Bogu poświęconym? A jeżeli naród, który w uczuciu katolickiem pragnie, by święta i niedziele według nauki religii święcone były — i nie widząc innego sposobu do osiągnięcia tego celu, chwyta się drogi ustawodawstwa, to śmie jeszcze Diennik Polski nazywać ten krok „reakcyą klerykalną“.

Ale nie koniec na tem; w następnym numerze omawiając sprawy Sejmu dolno-austryackiego ubolewa to pismo, że antisemici i klerykały w tym Sejmie podobny wniosek przygotowują, a nawet mają zamiar sprawę tę wnieść na stół Rady państwa — a jak słychać. Rząd temu wcale niema być przeciwny. Rzecz zaiste dziwna, że ustawa mająca normować święcenie niedzieli i świąt, w piśmie polskiem znajduje oponenta, zamiast coby jej przyklasnąć się miało i życzyć najspieszniejszego zrealizowania, gdyż w ten sposób nauczymy się święcić dzień Bogu poświęcony należycie, kiedy samo poczucie obowiązku płynącego z religii (jak u żydów) nie dyktuje nam postępowania. A brak tego poczucia winniśmy takim „Dziennikom polskim“ et consortes. Sapienti sat.

Pierwsza Komunia św. w więzieniu.

(Z francuskiego).

Niektórzy rodzice, zapatrując się mylnie na rozwój ducha ludzkiego, wszelkich dokładają starań, aby dziecku dać jak najlepszą ogładę światową, z zupełnem pominięciem kształcenia jego duszy i serca. Pragnęliby, aby ono było mądrem, uczonem, aby ich chlubą było w przyszłości! Zapominają jednak, że tylko religia jest początkiem — jest źródłem wszelkiej mądrości!.... Zapominają, że dziecię, ucząc się w szkole katechizmu, zdobywa sobie pomału niewyczerpany skarb, z którego przez całe życie moralne i materyalne dobro czerpać będzie. Moralne, bo w przysposobionej duszyczce i sercu dziecięcia prawdami św. Wiary, rozwijać się będą cnoty, dające mu imię zacnego człowieka. Materyalnie zaś, bo wszystko dobro ziemskie, nie mające podstawy w zacnym charakterze człowieka, który tylko religia zdolna jest wyrobić, podobne jest do bańki mydlanej, puszczonej przez nieroztropne dziecię.

Tak człowiek prawdziwie moralny potrafi godnie i roztropnie wszelkich darów Bożych używać. Jak zaś ciężko już tu na ziemi są karani rodzice, którzy zadniedbują dzieci katechizmu, i do czego brak tej nauki człowieka dogrowadza, przedstawimy poniżej, w opisie rzeczywistym, przez niektóre gazety francuskie nie dawno, bo w 1879 roku opisywanym.

* * *

Czytając w gazetach, że młody zbrodniarz i morderca Henryk Billoir, nie został ułaskawiony, jak się powszechnie spodziewano, lecz dzisiaj (11 maja 1879) o godzinie 4 rano przez paryzkiego kata p. Rosz stacony, mocno byłem zainteresowany, co było powodem nikczemnego życia, jakie ten młodzieniec prowadził; tembardziej, że jak donoszono, dzień śmierci był zararem dniem pierwszej Komunii świętej.

Znając osobiście p. Rosz, kata paryskiego, poszedłem wieczorem do niego. Był zadumany, wzruszenie i smutek malowały się na jego twarzy. Obok siedział jeden z jego pomocników, o pięknych i energicznych rysach twarzy młodzieniec. Pomału nakierowałem rozmowę o Henryku Billoir, i jego pierwszej Komunii św.

— Tak, tak, to dzisiejsze bezwyznaniowe wychowanie szkolne jest przyczyną jego śmierci, rzekł jakby sam do siebie pan Rosz.

— Czy nikt nie był obecnym na ceremonii jego pierwszej Komunii św., — zapytałem.

— Przepraszam pana, ja i p. Rosz byliśmy, odpowiedział młodzieniec. I zapewniam pana, ten chłopiec byłby aniołem, gdyby nie własny jego ojciec, cały jestem jeszcze wzruszony.

— Doprawdy?

— Tak panie. Skoro spostrzegłem Henryka klęczącego u stóp ołtarza, nie wiem, co się wtedy ze mną działo; przypomniałem sobie moją pierwszą Komunię św... Łza błysła w oku, płakałem, a potem szlochałem. Bo jakżeż nie płakać, gdy ci szczęśliwy rzuca się w objęcia.

— Ja także płakałem — dodał pan Rosz, i to mi trochę na sercu ulżyło! Religia — dodał — rozszerza nasze uczucia, serca większemi czyni; inne zaś wzruszenia ścieśniają je, tak, jak gdyby kleszczami ściskają to biedne serce ludzkie!

— Tak, to prawda — odpowiedzieliśmy.

— Widziałem — mówił pan Rosz — wielu zbrodniarzy karanych śmiercią; mieli serce spełnić morderstwo; nie mieli go, gdy trzeba było umierać. Ogólnie mówiąc, ci umierają jak należy, mężnie dnalii bez junakieryi, którzy przedtem dobrze pojesię z Bogiem.

— Nie mów mi pan o odwadze tych — mówił dalej, którzy bluźnią jeszcze wieczorem..... a naza jutr rano całują krucyfiks.... przedewszystkiem, nie wierz pan ludziom „bez Boga“. Ci nie mają odwagi.... wściekłość, szał, coś na kształt tego ich odurza. Ci już nie są ludźmi!.... lecz bydłem!

— Czy nie zdarzyło się już, aby który z tych nieszczęśliwych przyjmował pierwszą Komunię św. w przeddzień.... lub w sam dzień..... swojej śmierci zapytałem.

— Widziałem takiego panie — odpowiedział pan Rosz.

I zaczął opowiadać.

— Był to smukły chłopiec, bez brody i wąsów, z czarnem, miłe wrażenie robiącem obiem. Był łagodnym i uprzejmym! przynajmniej w wilią pierwszej swojej Komunii św, który był ostatnim jego dniem. Mówił, że szczęście znalazł w więzieniu.....

Dawniej był dzikim i ponurym.

— Zresztą opowiem panu jego życie, tak jak sam mi je opowiedział:

„Nie byłem stworzony na to — mówił — aby nędznie skończyć na szafocie. Bóg obdarzył mnie tem wszystkiem, czego potrzeba, ażeby zostać uczciwym człowiekiem.

Dlaczego jednak tu przyszedłem? Nie wiem, albo raczej wiem doskonale. Słuchaj pan, w tej chwili odprawi ksiądz Mszę św. na moją intencyę i przyjmę Komunię św. Tak panie, to będzie pierwsza moja Komunia św.“

„Cała tajemnica moich zbrodni mieści się w tem: nie byłem u pierwszej Komunii św. Och! historya to niedługa, uważaj pan“.

„Mój ojciec nie był złym człowiekiem, lecz zajęty polityką, stracił wiarę w Boga. Często mi mówił o rzeczach, których wcale nie rozumiałem. Przypominam sobie tylko, że nie chciał mię posyłać do innej szkoły, jak tylko do świeckiej, publicznej szkoły. Mówi, iż o żadnej religii nie potrzebuję mieć wyobrażenia, ani znać jakiegokolwiek księdza“.

„Mając lat dwanaście, chciałem się uczyć katechizmu. Ojciec zabronił surowo dyrektorowi szkoły zapisać mię na listę studentów, uczących się katechizmu. Mówił, że to są głupstwa“.

“Pewnego dnia ksiądz katecheta przyszedł do szkoły chłopców. Było to w czwartek, w dzień rekreacyi. Sługa Boży popatrzywszychwilę na nas bawiących się, zaczął rozmawiać z moimi towarzyszami. Potem zwracając do mnie łagodny swój wzrok, rzekł:

— „Ciebie moje dziecko, nie znam jeszcze. Nie przychodzisz na katechizm?

— „Nie, papa nie chce“.

— I z głupią zarozumiałością dodałem:

— „Papa powiedział, że to są głupstwa!

— „Powiedz mi dziecko, czy twój ojciec był u pierwszej Komunii św.“?

— „Mówi, że był, lecz dla chłopca to nie jest potrzebnem; mówi, że dosyć jest być uczciwym republikaninem.

— „Czy mogę się widzieć z twoim papą.... i o której godzinie?“

— „Co dzień o ósmej wieczorem — odpowiedziałem“.

„Przypominam sobie tę rozmowę — mówił więzień, bo wzruszyła mię bardzo i życzyłem sobie, aby mój ojciec zmienił postanowienie. Zapragnąłem wraz z moimi towarzyszami uczyć się katechizmu“.

„Przyszedłszy do domu, opowiedziałem to matce; biedna nic nie odpowiedziała: nigdy ani jednem słowem nie sprzeciwiała się mojemu ojcu. Po chwili dopiero rzekła:

— „Twój ojciec zrobi co zechce.

Przed ósmą, serce biło mi gwałtownie; stałem przy oknie i spostrzegłem nadchodzącego księdza. Otworzyłem drzwi, pogłaskał mnie po twarzy, a matce opowiedział cel swego przybycia“.

— „Ojciec zrobi jak mu się podoba, tak jak zawsze — odpowiedziała.“

„Wreszcie przyszedł mój ojciec; zamknął się z księdzem w moim pokoju“.

Dymyślasz sią pan zapewnie, że przyłożywszy ucho do dziurki od klucza, słyszałem wszystko“.

— „Dlaczego pan nie pozwalasz temu dziecku przystąpić do pierwzzej Komunii św.? Jest bystry i roztropny chłopiec, i zdaje mi się, nadzwyczaj chętny do zabawy. Pozwalając mu rosnąć bez religii, bez miłości Boga i poznania swoich powinności, bez hamulca przed wrodzonemi namiętnościami, pracujesz pan na jego zgubę“.

„Mój ojciec potrafił mówić znakomicie, lecz w tej kwestyi powtarzał tylko to, co do mnie mó. mówił; stanowczo więc odmówił spełnić życzeń księdza.“

„Słysząc to kapłan, powstał, a wychodząc jakby na pożegnanie dodał słowa, które dotąd brzmią w mojej duszy głosem rozdzierającym mi serce:

— „Pozwól pan, słówko jeszcze jedno powiem, tem postanowieniem swojem, pokazałeś pan, że jesteś najstraszniejszym nieprzyjacielem szczęścia swego własnego dziecka. Pewnego dnia będziesz pan nieszczęśliwym przez niego, lecz pańska to wina“.

„I poszedł smutny, lecz zawsze dobry dla mnie, bo znowu pogłaskał mnie po twarzy“.

„Opowiedziałem to panu ze wszystkiemi szczegółami, bo jak sam pan widzisz, to było punktem wyjścia na całą drogę mego życia“.

„Od tego dnia, szydziłem z najlepszych kolegów: moje zachcianki było dla mnie prawem, nikogo nie uszanowałem“.

„Trzy lata później, w ten sam dzień, w którym ojciec dał mi policzek, opuściłem dom rodziców, Złączyłem się z bandą łobuzów, z których żaden nie szanował jeden drugiego. Żyliśmy z małych kradzieży, a noce przepędzaliśmy po za fortyfikacyami Paryża w jednej rozpoczętej budowie, lub nawet w opuszczonych ruderach“,

„Nie powiem panuszczegółów naszego łotrowskiego życia“.

„W siedmnastym roku zostałem aresztowany; bez żadnych ceregielów odesłała mnie policya‘ do domu poprawy, gdzie mogłem nauczyć się rzemiosła i pędzić życie spokojne, gdybym się już nie był przyzwyczaił do zbrodni“,

„Tam zrobiłem znajomość z dwoma przyjaciółmi, gorszymi aniżeli ja łotrami. Pomimo ścisłego dozoru, uciekliśmy. Dwa lata temu. Miałem naówczas dziewiętnaście lat“.

„Od tego czasu żyłem z kradzieży i łupieztwa. A ponieważ prowadziłem to rzemiosło codziennie, w ostatniej wyprawie właściciel, któremu nożem cios śmiertelny zadałem, zdołał jeszcze wykrzyknąć o pomoc! Byłem kzwią zbryzgany, wzięto mnie.

„Skazano mnie na śmierć; dobrze zrobiono, już sto razy zasłużyłem na nią“.

„Dziwi cię to panie, nieprawda?“

— Tak w istocie — odpowiedziałem — rzadko kiedy skazani uznają się winnymi. Potem opowiadał:

„Mówiłem może tak jak inni, gdyby więzienie zupełnie nie przekształciło mnie. Wchodząc do niego,

byłem wściekłym i skończonym łotrem, złościłem się wymyślałem, bluźniłem, przeklinałem Boga i ludzi. Otworzono drzwi i czcigodny kapłan wszedł. Zdawało mi się, że widzę tego samego księdza, który mię chciał przysposobić do pierwszej Komunii świętej ‘.

— „Mój przyjacielu, rzekł łagodnym i sympatycznym głosem, jesteś chrześcianinem, i zapewne przystępowałeś do pierwszej Komunii św.“

— „Przepraszam mój ojcze, przerwałem, czy można ją przyjąć w więzieniu?“

„Na zgodną jego odpowiedź, otrzymałem katechizm. Och, co za piękna książka! panie co za cudne modlitwy!..., Och, gdybym był znał to wszystko!....

„I jak dobrego serca jest ten jałmużnik, Patrz pan na piękny krucyfiks w mojej celi. Zdaje mi się, że sam jeden tutaj posiadam wizerunek naszego ukrzyżowanego Boga! Och szkoda, że ten znak poświęcenia nie znajduje się wszędzie!“

„Widzisz pan, najmniejszej nie czuję nienawiści do nikogo. Nie przeklinam mego ojca... a nawet z przyjemnością myślę, że przyjdzie czas i porzuci to bezbożne życie.... tak dla mnie fatalne..., i gorąco proszę za nim Boga!... Ależ otóż i czcigodny nasz kapelan nadchodzi. Jeszcze słówko z nim pomówię i potem ujrzysz mnie pan przystępującego do Stołu Pańskiego“.

— Zacny chłopiec skończył historę swego życia; nie znałem jednakże szczegółów, które ukrył przedemną.

Główny klucznik, noszacy mu zupę, opowiedział mi je potem; były one wyrazem pięknego cherakteru biednego więźnia: w piątek nie przyjmował żadnych pokarmów, mówiac: wstydzę się, iż dotychczas nic jeszcze nie cierpiałem dla Boga, który umarł za mnie.

Pragnął komunikować się w dzień swojej śmierci.

Wszyscy byliśmy obecni na Mszy św. Przez cały czas Przenajświętszej Ofiary klęczał.

Przyjął Komunię św..., płakaliśmy. Mniemano, że przygotowywa się do uczty.

Modlił się gorąco. Wreszcie zmuszony byłem szepnąć mu, że czas jest przyjąć jaki posiłek. Czcigodny kapelan kazał mu przynieść śniadanie.

Jadł z apetytem; był szczęśliwy, prawie wesół.

Serdeczne współczucie okazywali mu strażnicy. Spostrzegł że łzy ukradkiem ocierali.

— Płakać nad takim nędznikiem jak ja! Uspokójcie się; jeżeli Bóg, tak jak marnotrawnemu synowi przebaczy mi, i weźnie mnie do swego królestwa, pomyślę o was.

— Tymczasem — rzekł zwracając sie do nas — wszystkich tu obecnych, błagam o jedno „Zdrowaś Marya“ za duszę mordercy!

I codziennie modlę się za jego duszę. Na progu więzienia rzekł mi to, czego nigdy jeszcze z ust więźniów nie słyszałem.

— To nie jest tak strasznem panie, umierać w dwudziestym piewszym roku; jeżeli śmierć przyjmuje się jako zadośćuczynienie za popełnione zbrodnie!

— Co tylko było w możności kapełana, robił, aby mu wyjednać ułaskawienie. Wszystko było bezskutecznem. Towarzyszył mu aż do ostatniej chwil: po kilka razy go ucałował..... Nim otrzymał raz śmiertelny, młody winowajca usłyszał głos: *Synu marnotrawny, idź do nieba.*

To opowiadanie sprowadziło zadumę na nasze czoła. Wzruszeni. pożegnaliśmy zacnego gospodarza. Całą noc oka zmrużyć nie mogłem; historya nieszczęśliwego chłopca, głęboko utkwiła w mej pamięci. Tak, myślałem sobie: *bezreligijne wychowanie dzieci*, szkoły publiczne.... gdzie nie uczą dziatek katechizmu, oto przyczyny pchające ludzkość na drogę zbrodni i wiecznej śmierci. Co to będzie, jeżeli tak dalej potrwa?..... Ale nie; Bóg jest dobry! nie pozwoli zatracenia tylu dusz ludzkich! i zmieni na lepsze. Rodzicom myśl dobrą poda, lecz żąda, aby prosili o nią wychowując dzieci.

Pragnienie krwi.

Pod tym tytułem znajduje się w czasopismie *Civilta Cattolica*, niezmiernie zajmująca rozprawa o działaniu wolnomularstwa i pokrewnych mu tajnych stowarzyszeń, które podkopując wiarę w Boga, szerzą zepsucie i ludzi do krwawych popychają czynów. Rytuał wolnomularski grozi śmiercią temu, któryby zdradził tajemnice stowarzyszenia, a karbonerya, rodzona córka masoneryi, orzeka w 34 artykule swego kodeksu, że tajny trybunał ma prawo sądzić nie tylko winnych adeptów, lecz także karać śmiercią każdą inną osobę, którąby jego wyrok potępił. Prawie wszyscy naczelnicy wielkiej rewolucyi francuskiej byli wolnomularzumi. Z nich złożony trybunał rewolucyjny pozbawił życia 18,613 ofiar, pomiędzy temi 3000 kobiet.

San Carrier kazał rozstrzelać lub potopić 2000 dzieci, 700 kobiet, tyluż księży, 1400 szlachty i 5300 mieszczan i chłopów. W Wandei zabito 15.000 kobiet i 12.000 dzieci, w Lyonie zginęło 31,000 ludzi. w Tulonie 20,000.

Krok w krok za wojskami francuzkiemi postępowało wolnomularstwo i w krajach podbitych otwierało nowe loże, które się stawały ogniskami buntu przeciwko Bogu i Kościołowi. Wolnomularze to byli sprawcami domowych wojen i posługując się sztyletem, trucizną i bombami, gładzili ze świata obrońców porządku, pokoju i sprawiedliwości. Od owego czasu niezliczone są zbrodnie, których się dopuszczali wolnomularze i pokrewne im stowarzyszenia. Leon Taxil ułożył cały ich katalog, z którego przytacza autor niektóre głośniejsze wypadki. Okropna śmierć księżny de Lamballe, Maryi Ludwiki Sabaudzkiej, którą Taxil w najdrobniejszych opisuje szczegółach, nie była niczem innem, jak wolnomularską zemstą, na co podaje niezbite dowody.Tem też była śmierć O. Le Franc, odważnego odkrywcy wolnomularskich tajemnic i jego

towarzyszy. Wmurowanie 115 zakonników, księży i Biskupów w klasztorze karmelickim było dziełem wolnomularstwa, jak tego dowodzi przekonywująco Taxil, i to samo powiedzieć można i innych krwawych scenach z czasów teroryzmu.

Ofiarami wolnomularstwa nie byli tylko księża, wierna królowi szlachta, spełniający swój obowiązek wojskowi i najgodniejsi mieszczanie, ale także bardzo wielu wolnomularzy, którzy ze wstrętu do ciągłych zbrodni opuścili szeregi dawnych towazzyszów. Z tego powodu dali gardło książę de Chartres Filip Egalité, generzł Quesnel, książę de Berry i car rosyjski Paweł I. Taxil opowiada dalej o gwałtownym zgonie Wiliama Morgana, który odważył się ogłosić rytuał masoński, Pellegrina Rossi, ministra Papieża Piusa IX, znakomitego Józefa Leu w Szwajcaryi, jenerała Prima w Hiszpanii, bohaterskiego prezydenta rzeczypospolitej ekwatorskiej Garcia Mazeno i Gambetty. I na to podaje Taxil dowody. To samo źródło miały zamachy na Napoleona III, Franciszka Józefa, Ferdynanda, króla neapolitańskiego, Humberta I, cara Aleksandra II i innych, wykonane przer karbonarich, komunistów i nihilistów, którzy wyszli z łona wolnomularstwa.

Wyżej jeszcze pamięci są owe liczne morderstwa popełniane we Włoszech przed i po roku 1848 na urzędnikach, wojskowych i obywatelach, którzy padali pod morderczem żelazem dla tygo, że się okazali lub zdawali się być przeciwnikami karbonaryi. Procesy, które w dwa lata póżniej (1850) wytoczono owym wykonawcom rozkazów karboneryi wydostały ne jaw tajemnice, które zgrozą przejmują człowieka. Z ich zeznań dowiedziano się, że od przewódzców wychodziły rozkazy, inni spełniali, ułatwiali uskutecznienie zbrodni, dostarczając broni i pieniędzy, inni wreszcie przyczyniali się do ucieczki zbrodniarzy lub zatajenia „operacyi". Jeżeli zaś dowiedziano o nazwisku mordercy lub o przyczynie zbrodni, wtedy wtajemniczeni zaprzeczali wieści w gazetach, na zebraniach, w kawiarniach, a jeśli schwytano winowajcę, wtedy starali się przeszkodzić procesowi i przekupstwem i groźbą wpływali na i sędziów, pomiędzy którymi byli nieraz wtajemni , tak, że w końcu oskarzonego uwalniano. Tym sposocem wiele zbrodni pozostało w ukryciu lub bez kary.

Tak tedy tajne stowarzyszenia, które po dziś dzień rozgałęzione są po świecie, były i są, zdaniem autora, szkołą zbrodni. Tej zaś sprzyjają trzy okoliczności: najprzód brak religijnego uczucia, powtóre rozkiełzanie namiętności i po trzecie niedostateczność kodeksu karnego, a wszystko to przypisać głównie należy masońskim wpływom, które ogarnęły szkoły, prawodawstwo, rządy, nauki, sztuki i obyczaje, Jeśli człowiek, wychowany w massońskiej szkole, nie czci Boga, będzie czcił siebie samego i starać się będzie podporządkować wszystko owemu zimnemu barbarzyńskiemu sobkowstwu, które gasi w sercu płomyk miłości bliźniego. Jeżeli nie wierzy w wieczną sprawiedliwość i w sąd ostateczny — jakaż przyczyna może go powstrzymać od popuszczania cugli swym chuciom? Nie dziw więc, że pod panowaniem wolnomularstwa w samym Rzymie mnożą się niesłychane zbrodnie, a nawet już wyrostki z sztyletem obchodzić się umieją. Autor ubolewa, że Włochy, macierz cywilizacyi chrześciańskiej, teraz pomiędzy narodami pierwsze miejsce zajmuje w statystyce zbrodni. W dwóch latach 1887 i 1888 popełniono w Włoszech 5566 morderstw!

Ponieważ tedy ani poczucie ludzkości i sprawiedliwości, ani bojaźń Boża, ani więzienie, które nie jest zbyt srogiem, powstrzymać zbrodniarzy nie zdolne, przeto trzeba zaostrzyć kary, a mianowicie przywrócić kary śmierci, która dzięki zabiegom wolnomularzy zniesioną została, — by ta przynajmniej jakiś hamulec stanowiła.

Autor ostro też występuje przeciwko policyi włoskiej, która przestępców, należących do tajnych stowarzyszeń, nigdy wyśledzić nie może; wreszcie oświadcza się stanowczo przeciwko sądom przysięgłych, bo te składają się często z ludzi, którzy nie mając wyobrażenia o prawie, dają się obałamucić wywodom obrońców oskarzonego lub ulegają groźbom tegoż spólników lub takich, którym dla jakichkolwiek przyczyn zależy od jego uwolnienia. I ztąd to tak często ów trybunał wydaje uwalniające wyroki, które są obrazą sprawiedliwości, niebezpieczeństwem dla społeczeństwa i milczącą zachętą dla zbrodniarzy. Jeżeli się temu wszystkiemu nie zapobieży, nadejdzie czas, w którym każdy człowiek będzie się widział zmuszonym nosić broń, by ochronić siebie, rodzinę i mienie swe od napaści.

Tyle autor. My od siebie dodać tylko możemy, że najlepszą bronią jest wychowanie religijne młodzieży i szerzenie słowem i czynem chrześciańskich zasad, wszystkich zaś rządów zadaniem popieranie wszelkiemi siłemi tych dążności i zwalczanie stowarryszeń, które działalność swą osłaniają tajemnicą. Tylko to, co złem jest, obawia się jawności; co piękne, dobre i sprawiedliwe, taić się nie potrzebuje.

Pozorne niedowiarstwo.

Jest mnóstwo ludzi, którzy dawają, iż wu nic nie wie wierzą, i często sami siebie mają za niedowiarków, a którzy bynajmniej takimi nie są. Pobudzeni śmieszną próżnością, chcą uchodzić za mądrych i wolnomyślnych i niby lekceważą sobie przesądy gminu.

Mianowicie między młodzieżą dosyć często spotykamy tę słabość. Czyta sobie młokosek jaką wolnomyślną gazetę, powtarza jak papuga szumne polityczne frazesy; przeczytał jaką lichą ksieżkę, w której wyszydzano wiarę Chrystusa, wygaduje po salonach na księży i kościelne obrządki, słowem pali, pije i jest niedowiarkiem. — Czemuż? Sam nie umie sobie zdać sprawy. Dzieje się to po prostu z pychy i jakiejś wrodzonej żyłki do sprzeciwiania się.

Niechaj was nie mylą pozory, — między robotnikami, a mianowicie młodymi jest mało takich ktorzy po prawdzie wiary w sercu nie mają, ni

trafi się jeden taki pomiędzy tysiącem a może ani nawet pomiędzy dziesięciu tysięcami. Dowód na to znajdujemy w tem, że liczba tych, którzy w chwili śmierci istotnie nie chcą przyjąć Sakramentów św., jest Bogu dzięki bardzo nieznaczna, „Umrzeć jak pies“ nikt nic chce. W Paryżu, gdzie biedni robotnicy może więcej, niż gdzieindziaj, pod względem religii w opłakanym znajduje się stanie, obliczono, że pomiędzy tymi, którzy dostawszy się do szpitali, tam umierają, nie przypada dwóch na stu, którzyby aż do końca opierali się Panu Bogu. A więc jednak mają wiarę ci rzekomi niedowiarcy!

Znałem ja jednego młodego człowieka, który z profesyi był zegarmistrzem. Chorował on na piersi i siły jego widocznie upadały. Matka nalegała na niego, aby zawezwał księdza, przyjaciela rodziny. Chory nie chciał o tem słyszeć. „Za kogoż to mnie macie? Dajcież mi spokój!“ Trzy tygodnie później dostaje krwiotoku; straszny atak czyni go na pół godziny bezprzytomnym, wprawia go w omdlenie. Kiedy znowu odzyskuje zmysły, pierwsze słowa, które mówi, są: „Poślijcie po księdza!“ „Okropny miałem strach“, powiedział, kiedy ksiądz stanął przy jego łożu: „myślałem, że będę musiał umrzeć“. Potem wyspowiadał się, jak dwunastoletnie dziecko, pobożniś przyjął św. Komunią i ostatnie Olejem św. Namaszczenie i spokojnie zasnął w Panu. Womdleniu zupełnie pierzchło jego niedowiarstwo. Na podstawie doświadczenia nie waham się twierdzić: Mimo wyjątków, które tak są rzadkie, iż nie wchodzą w rachubę, ma się tak samo z wszystkimi robotnikami, którzy występują jako ludzie wolnomyślni.

Przypominam sobie piętnastoleniego młodzika, który uczył się rytownictwa. Ten mawiał, iż w nic nie wierzy, ani w Pana Boga, ani w nieśmiertelność duszy; księżom zgoła nic nie wierzy. W rodzinie swej i u swych towarzyszy uchodził za człowieka, nie posiadającego już iskry wiary, i — trzeba powiedzieć na honor drugich — wszystkich nabawiał jakoby strachu! Biedni rodzice jego bardzo się tem frasowali. Sam miałem kilka razy sposobność mówienia z nim, nie mogąc przecież na zmianę ducha jego żadnego wywrzeć wpływu, tak, iż i ja w końcu miałem go za niewiernego. aż tu pewnego pięknego dnia, ów biedny chłopiec klęka przed konfesyonałem i spowiad się z całego serca Temu nie zdarła maski bojaźń śmierci, wzruszyła go pierwsza Komunia św. jego małegobrata.

Poznałem w *** starego gwardzistę pierwszego cesarstwa. który jak mi mówiono, nie wierzył ani w Boga, ani w diabła. Choroba powaliła go na łoże śmiertelne. Jakiś szczery przyjaciel rodziny dokazał, iż wpuszczono księdza do pokoju chorego. Lecz chory, ile razy kapłan usiłował zbliżyć się do chorego, tak szorstko odpowiadał, że ksiądz myślał, iż nic nie wskóra. Nagle umarł ten nieszczęśliwy człowiek, kiedy już nie było czasu zawołać księdza. Gdy potem ów ksiądz zobaczył się z biedną wdową po nim, powiedziała mu, iż mniej więcej w godzinę po jego ostatnich odwiedzinach rzekł walczący ze śmiercią: „Czemuż to teraz ksiądz nie przychodzi, aby mnie wysłuchać spowiedzi? Jestem zupełnie gotów“.

A nie wystawiajcie sobie, że tacy pozornie w nic nie wierzący znajdują się tylko między prostymi ludźmi! łubo pycha wiedzy w duchu i sercu ludzi naukowo wykształconych i uczonych straszne wyrządza spustoszenie, to i tutaj niewiara często jest pozorem.

Poznałem wiele takich przykładów. Prawie wszyscy mistrzowie filozofii niewiernej minionego wieku przeniewierzyli się wobec śmierci swym naukom, jak to zeznali ich uczniowie. Powiadano mi o jednym uczonym profesorze, który aż do ostatniej swej choroby twierdził, iż człowiek tak samo nie ma duszy jak małpa, że wiedza straciła religię, że człowiek rozsądny dzisiaj już nie może wierzyć i t. d. Ale zaledwie się pomiarkował, że tylko około 8 dni pozostaje mu do życia, natychmiast się wyspowiadał, jak każdy prawowierny śmiertelnik, i przyjął św. Sakramenta, prosząc Boga i ludzi o pomoc.

Jeszcze jednego znałem osobiście, również znakomitego uczonego, który zdawał się być zgubionym na zawsze; pogrążony bowiem od przeszło sześćdziesięciu lat w błocie niedowiarstwa, był wielkim mistrzem sekty wolnych mularzy, Za zbliżaniem się śmierci, zwinął chorągiewkę, pokornie pojednał się z Panem Bogiem i swym Kościołem, a wyrzekłszy się niewiary razem z wolnomularstwem, zeszedł z tego świata z zupełną samowiedzą jako chrześcianin.

Setki podobnych przykładów możnaby tutaj przytoczyć ze wszystkich klas społeczeństwa, o mężczyznach, kobietach, bogaczach i biedakach. Ale na co? Każdy jaż bowiem ma swoje doświadczenie w tej mierze, a te kilka uwag, które codopiero spisałem na papierze, pewnie wystarczą zupełnie, aby przekonać czytelników, że tyle a tyle ludzi, którzy wydają się za niewiernych, zwykle nie czyni tego na seryo. Są to liche dowcipy, z jakiemi tacy ludzie chcą się popisywać, ale oni sami nic nie wiedzą z tego, co mówią, i wiedzą dobrze, że w niebie jest Pan Bóg wszechmocny, nieskończenie sprawiedliwy, przed którym nikt się nie ukryje. Niech tam sobie mówią co chcą, nie wierz im ani ich słochaj i rozpraw się z nimi krótko! Niechaj drwią sobie z religii; to jej nie zniszczy. Niechaj krzyczą, ile im się podoba; słońce świecić będzie żabom na głowy, choćby jak najgłośniej na to skrzeczały. *N....*

Różne wiadomości kościelne i światowe.

Z Rzymu. Dnia 12. listopada bież. roku poświęcił kardynał Parochi kaplicę św. Stanisława Kostki, która znajdowała się dawniej na Kwirynale a roku zeszłego kazał ją zburzyć rząd włoski. Celę, w której umarł święty młodzianiaszek, udało się jednak przenieść bez naruszenia. W środku tej celi leży na łóżku alabastrowy posąg św. Stanisława, przedstawiający śmierć jego. Nad łóżkiem wisi obraz przedstawiający objawienie się Najśw. Maryi

Panny św. Stanisławowi w chwili jego śmierci. Jak dawniej tak i teraz odwiedzają tę celę liczni pobożni katolicy włoscy i pielgrzymi zagraniczni.

Niemieckie Towarzystwo nauczycieli katolików istniejące od niedawna w Rzymie a założone w tym celu, by wychowywać młodzież na dzielnych kapłanów i misionarzy dla kraju i zagranicy, liczy obecnie 147 członków, pochodzących z różnych dyecezyi niemieckich. Między nimi jest 6 kapłanów, 1 dyakon, 4 subdyakonów, 6 minorystów, resztę stanowią nowicyusze, oblaci i braciszkowie. Działalność tego młodego stowarzyszenia, dla braku kapłanów, ogranicza się dotychczas tylko na dom macierzyński. Oprócz wychowania i nauczania członków, z których tylko kandydaci filozofii i teologii uczęszczają na uniwersytet gregoryański, podczas gdy niższe studya odbywają się w domu — wydaje wzmiankowane towarzystwo, czasopismo: „Nuntius Romanus“ w łacińskim języku, „Misyonarza“ i „Mannę“ w niemieckim i 2 pisma w włoskim języku. Z jego drukarni wyszło niedawno dzieło: „Institutiones juris publici ecclesiastici“ napisane przez mnsgnr. Cavaynis'a, rektora papieskiego seminaryum.

Socyaliści belgijscy robią z robotników prawdziwe zwierzęta. Po niektórych miastach tamtejszych udzielają każdemu choremu robotnikowi 100 franków, byle tylko umierając nie kazał wzywać kapłana ze św. Sakramentami i zarządził sobie cywilny pogrzeb. Takie pogrzeby zdarzają się niestety dość często.

Kościół katedralny z żelaza. Ojcowie misyi hiszpańskiej w Honan (w Tonkinie) sprowadzili sobie z Francyi kościół cały zrobiony z żelaza. Cały budynek składa się z 834 części, a przewieziono go na parostatku „Kosmopolit“.

Długość tego kościoła wynosi 55 metrów, a szerokości 20, wysokość zaś 15 metrów. Na wierzchu będą umieszczone 2 krzyże, każdy po 200 kilogr. wagi. Ciężar całego żelaza wynosi 76 tysięcy kilogramów.

Samobójstwo 12-stoletniego studenta wywołało w Wiedniu wielkę sensacyę. I rzeczywiście dziwić się wypada, że malcowi takiemu tak się sprzykrzyło życie, bo przed trzecią deklinacyą uciekł do grobu, że sam na się rękę położył. Długie szpalty w różnych dziennikach zapełniano na temat szkolnictwa i wychowania, ale mało z tych pism — przeważnie liberalnych — przyznało otwarcie, że jedynym powodem, jedyną przyczyną samobójstwa dziecka jest brak religijnego wychowania, brak wszelkich podstaw moralnych. Tego nie chcą przyznać dzienniki liberalne, bo by tem stwierdziły konieczność szkoły wyznaniowej, przeciw której kopie kruszą, boby musiały przyznać, że upadek ducha religijnego obniżył poziom moralności społecznej — a one pracują jedynie w tym celu, by duch religijny jeszcze bardziej upadł, by w społeczeństwie indyferentyzmem zarażonem łatwiej znaleść narzędzia powolne dla kapitalistycznej korupcyi.

Wychowanie domowe religijne i dobre z pewnością nie dopuściłoby do podobnego objawu smutnego, ale ażeby dzieci odbierały religijne wychowanie, muszą mieć w domu dobre przykłady, muszą mieć rodziców religijnych. A tymczasem czytamy słowa pewnego katechety przy jednej ze szkół wiedeńskich, że on w czasie swego urzędowania tyle miał przykładów braku tego wychowania, że rzeczywiście dziwić się nie ma co, jeżeli się trafiają samobójstwa u dzieci. I tak pisze on, że pewien uczeń przyniósł sobie do szkoły w dzień postu mięsne śniadanie do szkoły, a gdy mu nauczyciel z tego powodu w obyczajach dał notę mniej dobrą, ojciec ucznia zaskarżył nauczyciela do Rady szkolnej z tem, że on żywić może syna, jak się mu podoba. Innemu ojcu doniósł katecheta, ze syn nie uczy się religii i otrzymał za to grubiańską odpowiedź: Że jego dziecko nie potrzebuje się uczyć religii, bo nie będzie księdzem. Inni uczeń 13-letni, który nie umiał składu Apostolskiego, zapytany, czy się w domu modli — odrzekł, że on nie ma czasu w domu się modlić. Mili rodzice, którzy tak wychowują dzieci, to też niech nie narzekają, że ich dzieci wychowane bez bojaźni Boga, juž w 12 roku życia dojrzewają na samobójców.

Łaska Majśw. Panny Maryi. — W „Indo-European Correspondence“ czytamy korespondencyę Matki Przełożonej szpitala zostającego pod kierownictwem Sióstr na wyspie *Ceylon* o niedawnem nadzwyczajnem uzdrowieniu dwunastoletniego chłopca, któremu wóz złamał rękę. Silne zapalenie spowodowało gangrenę i doktór chcąc ocalić chłopca zaproponował amputacyę ręki. Usłyszawszy to chłopiec, zawołał: „O! nie; nie ucinajcie mi ręki! Dajcie mi *Lourdes Matha Covil* (wody z groty Matki Boskiej w Lurd). — Matka Przełożona dała mu się papić wody z cudownego źródła, którą chłopiec wypił z chciwością i zaraz zasnął.

Nazajutrz gdy doktór przyszedł odwiedzić chłopca z wielkiem zdziwieniem spostrzegł, że zapalenie znikło i rano goić się zaczęła. Doktór nie był katolikiem, jednakże wzruszony rzekł: „Chłopczyk ocalił swoją rękę!“ Tak, silna wiara ocaliła go, bo Bóg silnie wierzącym nic nie odmawia.

Nowa twierdza. Pływającą twierdzą najnowszego systemu jest dopiero co ukończony nowy pancernik włoski, noszący nazwę „Sardegna“. Olbrzym ten ma 440 stóp długości, a 81 szerokości. Wprawia go w ruch siła pary równająca się sile 22,800 koni, wytwarzana w 18 kotłach parowych, co daje szybkość biegu 18 mil morskich na godzinę. „Sardegna“ dźwiga na sobie całą flotylę: dwie parowe łodzie wielkie, dwa mniejsze parowce, trzy łodzie wiosłowe i czółno. Na przedzie i na tyle statku wznoszą się dwie wieże pancerne o płytach żelaznych 30 centimetrów grubości i uzbrojone 4 ciężkiemi działami 68 tonu. Park artyleryjski składa się z 8 dział 15 centimetrowych, z 16 dział 12 cm. i całego szeregu mniejszych armat z kartaczownicami. Najwyższe możliwe obciążenie statku wynosi 280 tysięcy centnarów. Pancernik ten posiada jeden maszt żelazny, na którym umieszczone przyrządy

elektryczne, oświetlające morze i brzegi lądu na daleką przestrzeń. Prócz tego jest tam i machina hydrauliczna dla artyleryi, sikawka parowa i szereg machin wentylacyjnych. Ładunek węgla wynosi 24 tysiące cetnarów. Pancernik te kosztował 32 milionów franków.

Ofiarność katolików francuskich i holenderskich. W Lyonie w uniwersytecie katolickim ma być urządzony wydział medyczyny. Zaraz przy pierwszej konskrypcyi zebrano na ten cel 390.000 franków. Arcybiskup ofiarował 20.000 fr., nie wymieniony ku czci św. Józefa 100.000 fr., od parafian kościoła św. Franciszka Salezego 100.000 fr., św. Marcina 100.000 fr., od pewnego proboszcza 40.000 fr., od jednego parafianina 25.000 fr., od biskupa z Dijon 4000 fr. — 35 lat temu, jak papież Pius IX zaprowadził w Holandyi hierarchię katolicką. Od tego czasu wystawiono tam 416 nowych kościołów, 136 odnowiono lub powiększono. Istnieje tam 222 zakładów dobroczynnych, w których ma utrzymanie 14.000 ubogich i chorych. Do szkół katolickich uczęszcza 165.000 dzieci. Trzeba rzeczywiście podziwiać wiarę i z nią połączoną ofiarność katolików francuskich i holenderskich.

Długi państw europejskich. Długi Rzeszy niemieckiej wynoszą 8 miliardów, Austro-Węgier 9 miliardów, Rosyi 15 miliardów, Anglii 15 miliardów, Francyi 30 miliardów franków.

Statystyka Dr. Bcecelli w swem dziele: Die „Staaten Europas" (Brün 1883) podaje następujące dane co do stosunku kapłanów katolickich do liczby ludności katolików. We Włoszech przypada jeden kapłan na 277 dusz; w Hiszpanii 1 kapłan na 419 dusz; w Portugalii 1 na 455 dusz; we Francyi 1 na 822 dusz; w Niemczech 1 na 886 dusz, w Anglii 1 na 1.076 dusz; w Belgii 1 na 1.100 dusz; w Austryi 1 na 1,216 dusz i w Rosyi 1 na 1.416 dusz.

Zrdowa rodzina. W Woppmansdorf, w Niemczech znajduje się w pewnej dziedzinie ośmioro rodzeństwa, czterech synów i cztery córki. Stanowią ono cztery pary bliźniąt liczących razem 612 lat. Nie używali oni nigdy w życiu ani kawy, ani piwa. Pokarm ich składa się z kartofli, chleba, kapusty i mleka. Mięso jadają raz w rok, na Wielkanoc. Nie zna żadne z nich doktora a zwyczajne przypadłości usuwają za pomocą środków domowych.

Łowienie ptaków śpiewających odbywa się corocznie w Turcyi na wielką skalę i sposób prawdziwie barbarzyński. Zaledwie do tego kraju zawita jesień, a już większa część młodszej ludności tureckiej stolicy czyni przygotowania na skrzydlatych wędrowców, odpoczywających w jakiś czas w Turcyi, w przelocie swym do krajów cieplejszych. Zaopatrzeni w lep, we włosień i klatki wychodzą ptasznicy po za miasto na puste pola, tam zastawiają wielkie sieci, by od razu schwytać większą ilość ptaków. Za wabika służy im zazwyczaj biedny szczygieł, który uwiązany za jedną nogę do palika, swem trzepotaniem i świergotaniem zwraca na siebie uwagę przelatującego ptactwa.

To nierozważnie wpada w zastawione sidła, które ściąga czychający w pobliżu ptasznik. W ten sposób tysiące ptaków zostaje pozbawione wolności i życia. Wiele bowiem z nich ginie zaraz z głodu lub ptasznicy zabijają je umyślnie, by potem sprzedać w mieście, gdzie szczególnie poszukują ich Lewantczycy, dla których pilaf (ugotowany ryż) z pieczonymi ptaszkami jest jednym z największych przysmaków. Więcej barbarzyński połów jest na lep. W odleglejszych częściach miasta umieszczają ptako-łowcy sidła z lepem, biedna ptaszyna łapie się nań za nogi, plącze się skrzydłami i całe upierzenie obiera się lepem. Takiej barbarzyńskiej zabawki pozwalają sobie chłopcy nawet w samem mieście, gdzie na tarasach widać gęsto nieraz rozstawione sidła, a po oknach i po balkonach klatki z wabikami. Schwytanych spiewaków sprzedają zazwyczaj handlarzom, u których z braku pożywienia giną z głodu; czego nie schwytają ptasznicy lub chłopcy, to zjadają jastrzębie i sępy lub zabijają myśliwi, który, gdy im się nie uda upolować większej jakiej sztuki, zabijają tuzinami ptaszki, by próżno nie wracać do domu. I dziwić się tu teraz, że w Europie coraz mniej ptaszyn śpiewających!

Ile jest czasopism na całym świecie? Najwięcej dostarcza Europa, bo blisko 20.000.— Z tej krajów pierwsze miejsce zajmują pod tym względem Niemcy — gdzie wychodzi 5.500, z tych 800 dzienników; potem idzie Anglia, które posiada 3.000 czasopism a z nich 809 jest codziennych; Francya wydaje 2.819 — pism peryodycznych, z których 700 przypada na dzienniki; Włochy posiadają 1.400 z tych 170 codziennych; Austro-Węgry mają 1.200 — z tych 150 codziennych; Hiszpania posiada 850; Rosya 800, Szwajcarya 450: — W Azyi, wychodzi 3.000 pism, z których największa część przypada na Japonię i Indye angielskie; Afryka 200. Stany Zjednoczone wydają 12.500 czasopism a Kanada i Australia 700. W całym świecie jedno pismo przypada na 82, 600 osób.

Ameryka Południowa. — Rzeczpospolita Ekwadorska już dawno przez pobożnego prezydenta Moreno pod opiekę Boskiego Serca Jezusa oddana, wystawia na tysiąc stóp wznoszącej się górze — świątynię Boskiemu Sercu. Ten kościół będzie widzialnym na wiele mil wokoło. Tymczasowo kaplica została poświęconą 19. marca r. b. przez Mgra Macchi. Prezydent, władze duchowne i świeckie i niezmierna liczba wiernych byli przytomni na tej uroczystości.

Australia. W archidyecezyi Sydneyskiej pobiera naukę 25.000 dzieci katolickich w 90 szkołach katolickich, gdzie 300 nauczycieli udziela im lekcyj. W roku zeszłym 50 studentów z kolegium św. Józefa zdało egzamin do Uniwersytetu św. Jana. Oprócz tych dwóch zakładów, są jeszcze dwa zakłady naukowe OO. Jezuitów, kolegium Braci Maryanitów, seminaryum duchowne i kolegium św. Wincentego dla dziewcząt pod kierownictwem Sióstr Szarytek. Również piękne są zakłady naukowe

i wyższe szkoły w dyecezyach Goulbourn, Bathurst, Maitland i Amidale.

Siedmdziesiąt lat temu był tylko jeden kapłan katolicki w Australii, a dzisiaj, w jednej tylko archidyecezyi Sydney, Kardynał-arcybiskup ma do pomocy Asystenta — biskupa i 140 księży.

Piękne za nadobne. Za czasów Karola II, króla Anglii, istniał na londyńskim dworze i w domach magnackich szczególniejszy zwyczaj. Kiedy, który z mężczyzn pił przy uczcie na zdrowie jakiej damy, wówczas powinien był na jej część rzucić zarazem jakąś cząstkę swego ubioru na ogień, który palił się na kominku.

Razu pewnego zaprosił do siebie mnóstwo gości na wspaniałą ucztę bogaty anglik Sir Karol Sedley. Jeden z jego gości, zauważył, że szczodry gospodarz ustroił swą szyję w bogatą koronkową krawatkę. Chcąc sobie przeto z niego zażartować, podniósł wśród uczty kielich, wypił go za zdrowie jednej z obecnej pań i zdjąwszy swą krawatkę z szyi, rzucił ją w ogień, co także musieli uczynić wszyscy mężczyźni a nawet sam gospodarz, mimo że mu bardzo żal było palić tak kosztowną ozdobę szyi. Zirytowawszy się tym żartem, zwłaszcza, że goście zamiast go żałować, jeszcze się śmiali z tak dobrego dowcipu. Sir Sedley postanowił odpłacić się im za to pięknem za nadobne. Następnego zaraz tygodnia porozsyłał znowu zaproszenia do tych samych swych przyjaciół, a kiedy ci przybyli i zasiedli do uczty — gwarząc wesoło — powstał sam gospodarz, wypił kielich wina za zdrowie księżnej Portsmouth, a kiedy wszyscy mu przyklasnęli naraz otworzyły się boczne drzwi i wszedł.. lekarz dentysta, z wszystkiemi starannemi narzędziami potrzebnemi do operacyi wyciągania zębów. Przywołał go natychmiast do siebie sir Sedley i kazał sobie wyrwać zęba, którego i bez tego chciał się pozbyć, gdyż go bolał i rzucił go z tryumfem w ogień. Z niechęcią wielką i boleścią musiało się całe towarzystwo poddać tej nieszczęsnej operacyi, tembardziej, że ten szczególniejszy hołd składano księżnie Portsmouth, a dama ta miała wielkie względy na dworze królewskim. Od tego czasu nikt nie pragnął być gościem Sedley'a ani zasiadać z nim razem do stołu biesiadnego.

Nawrócenie. Pewien młodzieniec w Nowym Yorku, prowadził niegodziwe życie, a o Panu Bogu ani dał sobie wspomnieć. Biedna jego matka, od kilku lat katoliczka, wpisała go do Bractwa Boskiego Oblicza i z prawdziwie macierzyńską miłością odmawiała za niego nowennę. W kwietniu r. z., (miesiąc ten jest poświęcony czci Boskiego Oblicza), nie widząc żadnej zmiany na lepsze w życiu swego syna, z silną wiarą w moc Boską postanowiła rozpocząć powtórnie roczną nowennę. Była to chwila w której Pan Bóg chciał pocieszyć stroskane serce matki i okazać jej swoją dobroć. Syn, nie wiedząc że matka modli się za niego, pisał do niej list ostatniego dnia rocznej nowenny, że pragnie zozsać prawdziwym katolikiem i prosił ją o wskazanie mu księdza, któryby go oznajmił z uasadami św. wiary. Matka natychmiast odpisała, aby wyjechał bez zwłoki. Młodzieniec przyjechawszy szedł do kościoła. Na progu świątyni tknięty paralizem, padł bezprzytomny. Zaniesiono go do szpitala Sióstr Szarytek w Nowym Yorku. Lecz jakież było zdziwienie kapłana uproszonego przez matkę kiedy dobrze sobie znajomego bezbożnego młodzieńca, spostrzegł klęczącego ze złożonemi rękami i modlącego się gorąco. Kapłan, widząc że jest bliskim śmierci, udzielił mu sakramentu chrztu św., ostatniego Pomazania i Komunię św., którą z wielką pobożnością przyjął. Uszczęśliwiona matka zaraz pobiegła do kaplicy, podziękować Panu Bogu za Jego miłosierdzie. Lecz Bóg, po raz wtóry zmiłował się nad nią, bo po kilku tygodniach jej próśb do Boskiego Oblicza, syn pomału odzyskał zdrowie, wpisał się do bractwa, i pobożne wiódł życie.

Chyżość. Wedle obliczenia dr. A. Winkelmana, ślimak przebywa w ciągu jednej sekundy 0.0015 metra, człowiek w marszu 1,25 m., kometa Halleya 3 m., najszybsza rzeka 4 m., balon w chwili wolnej od wiatru 6,4 m., szybkobiegacz 7,1 m., mucha 7,6 m., najszybszy statek parowy 8,5 m., bicyklista 9,7 m., łódź torpedowa 11,5 m., łyżwiarz 11,6 m., koń wyścigowy 12,6 m., rzeka górska 11,5 m., pociąg pospieszny 16,7 m., bałwany oceanu 21,6 m., gołąb pocztowy 27 m., orkan 45 m., jaskółka 77,9 m., najgwałtowniejszy cyklon 116 m., łoskot w powietrzu 290 m., powietrze w próżni 337 m., kula armatnia 500 m., fala wody w czasie powodzi 800 m., kamienie odrywające się ze szczytu góry Pic de Teneriffa, upadając w dolinę, przebywają w ciągu minuty jeden kilometr, księżyc 1000 m., ziemia 29,500 m., meteor 40,000 m., prąd elektryczny po drucie podmorskim 4.000,000 m., prąd po drucie telegraficznym nadziemnym 11,690.000 m., prąd indukcyjny 18,400.000 m., światło 300 milionów metrów.

Od Redakcyi.

W numerze 2gim pisma naszego obiecaliśmy dać naszym P.T. Abonentom jako premię roczną „**Kalendarzyk Gwiazdy katolickiej**"; ze względu jednak, że zniżamy cenę przedpłaty o ⅓ część, kalendarzyka owego dać nie możemy, co nam P. T. prenumeratorzy wybaczyć raczą.

Treść: Od Redakcyi. Czy dusza ludzka jest nieśmiertelna. — Niema takiego złego, któreby na dobre nie wyszło. — Niezwykłe nawrócenie. — Zdrowaś Marya. — Postęp wojenny żołnierza. — Sprawa prowadzenia metryk na Węgrzech. — Położenie katolicyzmu w Anglii. — Katakomby i Papież Leon XIII. — Rycina. — Dziennik polski o święceniu Niedzieli. — Pierwsza Komunia św. w więzieniu — Pragnienie krwi. — Pozorne niedowiarstwo. — Różne wiadomości kościelne i światowe — Ogłoszenia.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stan. Baylego.